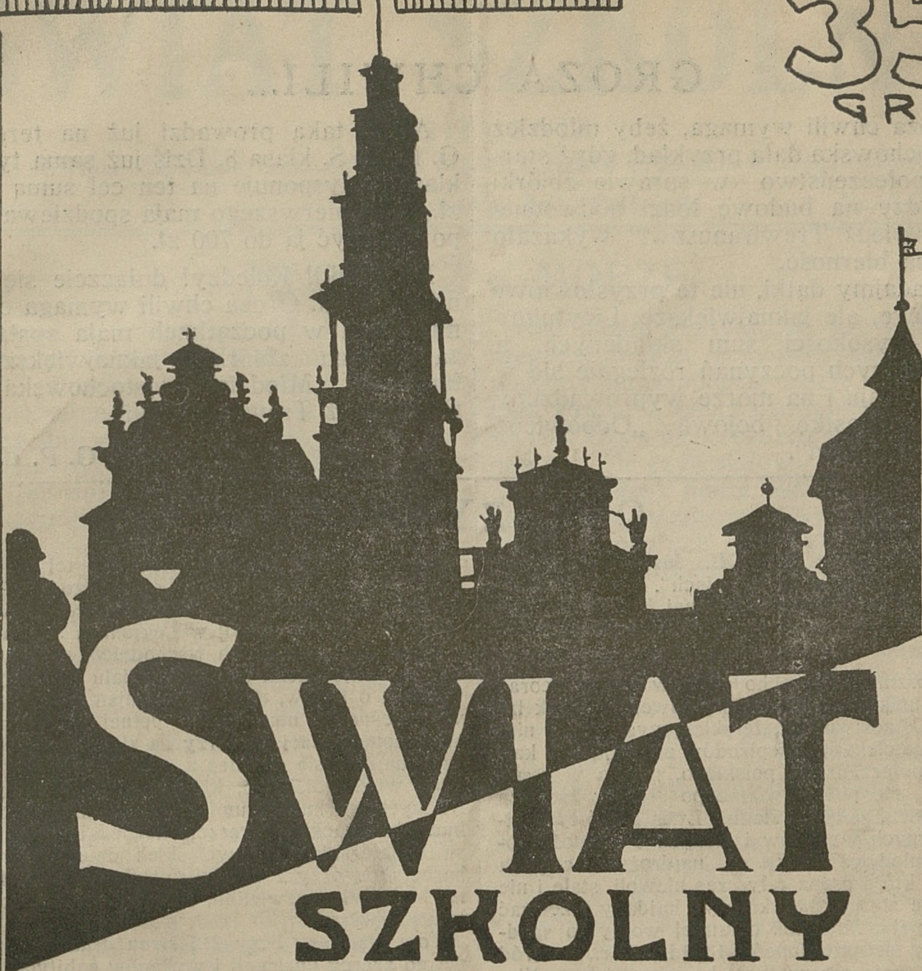
35 GR



MIESIĘCZNIK

WYDAWANY STARANIEM SAMOPOMOCY MĘSKICH SZKÓŁ ŚREDNICH W CZĘSTOCHOWIE.

ROK V. CZĘSTOCHOWA. Nr. 5 (32).

GROZA CHWILI...

Groza chwili wymaga, żeby młodzież częstochowska dała przykład, gdyż starsze społeczeństwo w sprawie zbiórki pieniędzy na budowę łodzi podwodnej „Odpowiedź Trewiranusowi" wykazało zupełną bierność.

Składajmy datki, nie te przysłowiowe groszowe, ale jaknajwiększe. Licytujmy się w wysokości sum składanych, a echo naszych poczynań rozlegnie się w całym kraju i na morze wyprowadzimy nową jednostkę bojową „Odpowiedź Trewiranusowi".

Akcję taką prowadzi już na terenie G. P. H. S. klasa 8. Dziś już sama tylko klasa 8 dysponuje na ten cel sumą 500 zł., a do pierwszego maja spodziewa się powiększyć ją do 700 zł.

Koleżanki! Koledzy! dołączcie się do naszej akcji. Groza chwili wymaga czynu. Niech w początkach maja zostanie zakończona zbiórka jaknajwiększego funduszu „Młodzież częstochowska na Odpowiedź Trewiranusowi".

Klasa 8, G. P. H. S.

CO CZYTAĆ?

HARCERZE W BOJACH. Inż. Władysława Nekrasza. „Harcerze w bojach". Tom. I. Warszawa 1930. Nakładem Głównej Księgarni Wojskowej. Cena dwóch tomów w prenumeracie 12 zł.

Przebrzmiało już echo gromów wojny i coraz więcej milknie; oddalają się powoli w mrok historji... Mnóstwo bohaterskich wysiłków i niesłychanie ciekawych epizodów zrywającego kajdany społeczeństwa polskiego, poszło w zapomnienie, nie pozostawiając po sobie żadnych wspomnień, żadnego śladu... Lwią część tych gigantycznych wysiłków i zmagań o wolność poniosła młodzież polska, ta najdroższa cząstka narodu, która przez cały czas niewoli, stale i niezmiennie starała się skruszyć kajdany i zerwać wraże pęta. Młodzież ostatniej wojny to spadkobiercy idei powstańców 1830 i 1863 r., a wśród nich na czoło wysunęli się harcerze polscy. Niestety jednak niczyje pióro nie tknęło, mimo tylu już lat pokoju, historji naszego harcerstwa w dobie ognia i walki.

Dopiero inż. Wł. Nekrasz, komendant chorągwi wołyńskiej, zasłużony bojownik o niepodległość dokonał pracy stanowiącej podwalinę, kamień węgielny pod gmach historji harcerstwa polskiego. Praca to była i żmudna i ciężka, gdyż autor nie rozporządzał żadnemi źródłami omawiającemi udział harcerzy w bojach o niepodległość, musiał więc korzystać ze sprawozdań, wyciągów z kronik, relacji ustnych i wspomnień osobistych poszczególnych harcerzy. Zaznaczyć należy, że praca inż. Wł. Nekrasza stanowi nie tylko opis bojów, lecz również i akcję pomocniczą harcerzy.

Całość ujęta jest w ramy chronologiczne, a zaczyna się od Legjonów w r. 1914 i poprzez wojnę ukraińską, powstanie wielkopolskie, wojnę bolszewicką kończy się na powstaniu górnośląskiem w r. 1921.

Świeżo ukazał się tom pierwszy tej pracy, który obejmuje okres czynu zbrojnego w latach 1914—1919. Mamy więc opis bohaterskich walk harcerzy, którzy służyli w Legjonach Józefa Piłsudskiego, w korpusach wschodnich, spotykamy się tu z bajecznemi opisami udziału harcerzy w walkach o Lwów, dalej dowiadujemy się o prawie nieznanej nam bliżej, pełnej poświęcenia akcji pomocniczej harcerzy na ziemiach ruskich, zapoznajemy się również z martyrologją harcerstwa wielkopolskiego, która mimo niezwykle trudnych warunków umiała przeciwstawić się bucie krzyżackiej, wreszcie dochodzimy do opisu bohaterskich i zwycięskich dziejów grupy harcerskiej przy 2 dywizji piechoty Legjonów na froncie bolszewickim, który to opis zamyka tom pierwszy.

Tom pierwszy liczy 216 stron druku, uzupełnia go szereg ilustracji i wykazów zabitych, rannych i odznaczonych.

W tej ciekawej książce niejeden harcerz spotka opis działań swego oddziału, przeczyta nazwisko swoje, swych znajomych i kolegów.

Młodzież dzisiejsza wychowana w zamęcie powojennym, w braku wyższych ideałów i w wirze walk partyjnych, powinna krzepić ducha, czytając i studjując dzieje tych, którzy życie lub zdrowie poświęcili na ołtarzu umiłowanej Ojczyzny i brać sobie za wzór tych bohaterów.

Nie należy wątpić, że każdy harcerz przeczyta tę książkę, która jest nie tylko zbiorem opisów pięknych czynów bojowych harcerzy w latach wojny o wolność ale także i odzwierciadleniem szczytnej tradycji harcerskiej. Poza tem jest ze wszech miar wskazane, by książka ta, z wyłuszczonych wyżej wychowawczych względów znalazła się wśród jak najszerszego ogółu młodzieży polskiej i dla tego powinny ją nabyć bibljoteki szkolne i czytelnie oraz powinna się ona znaleźć wśród upominków dawanych młodzieży

ŚWIAT SZKOLNY

MIESIĘCZNIK

wydawany staraniem Samopomocy Męskich Szkół Średnich w Częstochowie.

Rok V. Częstochowa, luty 1931 rok. Nr. 5 (32).

MŁODZIEŻ a MORZE.

Morze, w tytule tego szkicu, a raczej garści myśli rzuconych na niepewne losy, to nietylko bezmiar wód ozłoconych promieniami słońca, wzbierających falą burzy, lub szemrzących potęgą spokoju. To nietylko szare piaski zalewane przez fale lub nagie skały, sterczące nad tonią wód głębokich, ale i kraj bogaty zarówno przyrodą jak typowością mieszkańców, kraj ludzi zdobywców — Pomorza. I jeszcze jedno znaczenie chciałbym nadać temu wyrazowi. Ma on być uzmysłowieniem dążenia niemal całego narodu, do utrzymania tego okna na świat, jakiem jest nasze morze.

O stosunku młodzieży do tak pojętego Morza chciałbym rzucić słów parę.

. . . .

Jedenaście lat temu, ściślej 10 lutego 1920 r., odbył się symboliczny akt zaślubin Polski z Morzem. Jedenaście lat temu przybyliśmy nad morze, aby objąć szmat ziemi, nieliczne kilometry wybrzeża, które stało się podstawą naszego narodowego bytu. Przybyliśmy z gałązką oliwną, nie jako nowi ciemięzcy, ale jak dawno oczekiwani prawowierni gospodarze. Dowodem tego jest przyjęcie, jakie nam zgotowała ludność tamtejsza. Naprzeciw wojsk naszych wychodzili ludzie, ze łzami w oczach, zarówno stary Kaszuba, jak i dzieciak wyciągali ku nam radośnie ręce. Nieśliśmy im bowiem zdawna upragnioną Wolność. Po długim ucisku Niemców zjawiliśmy się wyczekiwani w poezji ludu tego, wyczekiwani w sercach tysięcy — my, zwiastujący nowe Jutro, — Polacy.

A przynieśliśmy nad morze dobro i pracę.

Nad falami Bałtyku, na 146 klm. naszego wybrzeża, uczyliśmy się; zdobywaliśmy najcenniejszą zaletę, której na imię Praca. Z chęci i pragnień naszych wyrósł Czyn nie orężny, nie ofiarą krwi potężny, ale czyn stalowy — ofiara Pracy. Zaklęliśmy nasze dążenia w beton i żelazo, wyraziliśmy skrzydlatą Myśl blokami nowych budowli, szeregami dźwigów i kranów, przewalających tysiące ton. Wdarliśmy się w morze szeregiem mól, pokrajaliśmy je na sztuczne pogłębione odcinki — słowem opanowaliśmy je. Tam, gdzie dawniej były torfowiska z rzadka sośniną porosłe, gdzie stało kilka chat rybackich, powstało dziś miasto Pracy — Gdynia. Jest ono i będzie wspaniałym pomnikiem zwycięstwa ducha naszego, naszej świadomości, nad tradycyjną wadą narodu Polskiego — nieróbstwem. I choć daleko Gdyni w swym rozwoju do miast amerykańskich, choć uboga jest ona w urządzenia techniczne w porównaniu z innemi portami, jest jednak naszem arcydziełem, radosnym pierwszym tworem na drodze Pracy.

Tego dokonało starsze pokolenie. Czegóż mamy dokonać my—młodzież?

Gdy Niemcy opuszczali Pomorze, żegnali je okrzykiem „Wir kommen wieder", a słowa te nie były tylko czczym frazesem. Przybierają onez dniem każdym na mocy, a może... może są coraz bliższe rzeczywistości. Myśl odwetu nie opuszcza Niemców, bez względu na system rządów, a prędzej czy później doprowadzi do nieuniknionego spotkania. Miljony młodzieży niemieckiej wychowuje się w duchu haseł rewizjonistycznych, miljonom wpaja się w umysły

MORZE.

Spokojna toń morza lekko się wznosi,
Fale swe ściele miękie, pieszczotliwe,
Ciepły wiaterek piany fal przynosi
Rozdrgane, w słońcu niby srebro żywe.
Morze spokojne — falą piaski rosi,
Zabiera brzegi w swe objęcia tkliwe.
Fale się mienią jasnem złotem słońca,
Morze się ciągnie spokojne — bez końca!
Szklana toń morza bałwanami bije,
Fale swe ciska w pędzie
niewstrzymanym.

Zimny wicher północy dziko wyje,
Bałwanem rzuca, jak strzępem
porwanym
Morze spienione — falą piaski ryje,
Pian grzywy rzuca na brzegu zalanym,
I ryczy głosem, że zda się, że żyje.
Fala się piętrzy wysoko — hen —
w chmury,
Robiąc wrażenie nie wody — lecz góry!
Czasami mewa jaśnieje gdzieś w dali,
Muskając jasną toń srebrnemi póry;
Lub rój żaglówek bieleje na fali,
Lub czasem tam, gdzie morze i lazury
Stykają się z sobą, błyszczy ze stali
Okręt gość zamorski, ciągnąc dym
burzy,
Zdąża do przystani w żaglówek borze
By kotwicę zarzucić w polskie morze!

„Ewu“, G.Z.S.K.

---

konieczność przyszłej wojny, wojny którą za świętą niemal się uważa, a której celem jest odebranie „wiecznie niemieckich ziem, wydartych przez niesprawiedliwość dziejową“.

Temu niebezpieczeństwu musimy przeciwstawić siłę równorzędną, musimy stanąć na straży Morza, musimy je związać nierozerwalnie z Macierzą. Musimy stworzyć silną flotę, rozwinąć i zbudować porty. Lecz i to nie wystarczy. Aby zapewnić sobie dostęp do morza, aby utrzymać Pomorze musimy rozwinąć całą Polskę. Od fal morza, aż po śnieżne szczyty Tatr, musi przebiec przez Naród nasz zew budowy, zew Pracy. Naprzeciw nas stoi pokolenie dzisiejszych Niemiec, pokolenie mające poza sobą tradycję pracy, nawykłe od dzieciństwa do sumienności, wytrwałe i karne; choć o mniejszych wartościach duchowych, nawykłe jednak do realnej pracy, pozytywnego działania. Jeśli my młode pokolenie nie wytężymy wszystkich sił swoich, jeśli nie pokonamy przepaści dzielącej naszą kulturę i nasz charakter od kultury i zalet charakteru narodów Zachodu, zaleje nas fala. I znów upłyną stulecia hańbiącej niewoli, hańbiącej, bo własnem sprawionej niedołęstwem, i nowa fala nieszczęść krzesać z nas będzie iskrę wartości.

Lecz aby się narodził Czyn, musi się narodzić Człowiek.

Praca nasza musi się rozpocząć od budowania Człowieka, od budowania Go w nas samych. Człowiek ten inny być musi, niż ludzie przeszłości. W nim musi się zlać Chęć i Czyn, On ma być Człowiekiem Woli. Na dnie Jego istoty spoczywać musi fanatyczna wiara w Jutro, wiara nie bierna, lecz taka, z której się rodzi niestrudzone działanie od kolebki, aż do grobu. A człowiek ten musi Miłość mieć wielką ku narodowi, musi być przywiązany potężnym węzłem do kraju, gdzie poraz pierwszy świeciło mu Słońce, gdzie ujrzał świat.

To jest ideał człowieka, do którego dążyć powinniśmy. Narzuca go nam twarda Konieczność, narzuca go nam Życie. Przyjmiemy ciężar spoczywający na barkach ginącego już pokolenia, przyjmiemy tysiące prac i trudów, sieć sprzecznych obowiązków, w których łatwo się możemy uwikłać. Przez moment, który się nazywa Życiem pokolenia, w naszych rękach spoczywać będzie skarb, okupiony łzami i krwią ludzi minionych: Wolna Polska. Musimy Ją utrzymać i rozszerzyć, Jej musimy poświęcić wszystkie nasze siły. Bo przyjdą po nas nowi ludzie, którzy żądać będą dokonanych Czynów, bo Praca nasza sądzona będzie, przed surowym dziejów trybunałem.

Niechaj sprawa morza i związane z nią niebezpieczeństwo Zachodu, skierują myśli, chęci i Czyny nasze na jedyną właściwą drogę, drogę budowania Człowieka Jutra, Człowieka Czynu.

R. S., G.P.H.S.



POLSKA i POMORZE.

Zarys historyczny.

W dobie tworzenia się państwa polskiego pas nadmorski zamieszkiwały dwa plemiona: Pomorzanie i Prusacy. Włości Pomorzan rozciągały się od dolnej Wisły, szły wzdłuż rzek: Brdy, Noteci i dolnej Warty i sięgały aż poza ujście Odry. Na wschód od Wisły, w granicach mniej więcej dzisiejszych Prus niemieckich, mieszkali Prusacy, plemię pokrewne Litwinom.

Na obszarze Pomorza, nad dolnym biegiem Odry, Polska rozpoczyna za Mieszka I swe długie walki o morze i Pomorze. Tu się starły poraz pierwszy, w szerszem znaczeniu, wpływy Polski i Danji i one dominują przez cały czas panowania Mieszka I i, jak podaje Cz. Frankiewicz w swej „Historji Pomorza", „zacięta walka Piastów z Duńczykami o Pomorze, to jedna z podstawowych stron pierwotnej historji Polski". Walki z Niemcami, choć krwawe i uporczywe, nie miały narazie większego znaczenia wobec zaborczości Duńczyków, plemienia silnego na morzu. Stosunki te poprawiły się, gdy córka Mieszka, Świętosława, wyszła za władcę duńskiego Swena. Tę sprzyjającą konjunkturę polityczną wykorzystał Bolesław Chrobry i zajął Pomorze wraz z dwoma ważnemi grodami Szczecinem nad Odrą i Gdańskiem nad Wisłą.

Nie utrzymała się jednak nad Pomorzem władza następców Bolesława Chrobrego. Walki o Ziemię Czerwieńską i zamieszki wewnętrzne odciągnęły uwagę władców polskich od kwestji północnej. Dopiero Bolesław Krzywousty w długich, blisko trzydziestoletnich walkach, zdobył Pomorze, ugruntowując tam chrystjanizm. Pod koniec życia jednak wdał się Krzywousty nieopatrznie w walkę z Belą II i cesarzem Lotarjuszem III. Poniósłszy klęskę, musiał złożyć cesarzowi hołd z wyspy Rugji i Po-

morza, rezygnując równocześnie z ziemi braniborskiej.

Czasy rozbicia dzielnicowego nie pozwoliły Polsce kontynuować polityki Bolesławów, owszem przyprawiły ją o utratę Pomorza zachodniego, na rzecz Niemiec, aż po rzekę Persantę.

Pomorze Wschodnie, zostawione samo sobie, przeżywało okres samodzielnej polityki książąt miejscowej dynastji.

Okres ten, szczęśliwy dla rozkwitu Gdańska, przerwało sprowadzenie Krzyżaków przez Konrada Mazowieckiego w roku 1226. Odtąd rozpoczęła się nowa era rozwojowa polityki tak polskiej jak i lokalnej, pomorskiej. Krzyżacy, powołani do ochrony przed Prusakami, ogniem i mieczem nawracali to nieszczęśliwe plemię. Po pięćdziesięcioletniej walce Prusacy zniknęli z powierzchni ziemi, a Krzyżacy rozciągnęli swe władanie od Wisły do Niemna. Butny Zakon okazał wkrótce swe właściwe oblicze względem Polski. Mając w swem posiadaniu Prusy, zapragnęli zawładnąć polskiem Pomorzem. Oczekiwali tylko odpowiedniego momentu, by plan swój wykonać. Jakoż chwila ta nadeszła. Oto w roku 1309 wezwani przez Łokietka na pomoc Gdańskowi przeciw Brandenburczykom, zdradziecko miastem zawładnęli, wycinając w pień miejscową ludność. Opanowawszy ujście Wisły rozwinęli swą ekspansywną politykę na całem Pomorzu.

Powstrzymał ich pochód Władysław Łokietek w bitwie pod Płowcami 1331 roku. Mimo to Polska zabranych ziem nie odzyskała, przeciwnie na mocy traktatu kaliskiego w 1343 roku, Pomorze dostało się pod panowanie Zakonu. Polska została odsunięta od morza na przeciąg przeszło 100 lat, bo do roku 1466.

Świetne zwycięstwo grunwaldzkie, 1410 r., acz niewykorzystane, złamało potęgę Krzyżaków. Owoce zwycięstwa Jagiełłowego zbierała Polska dopiero za Kazimierza Jagiellończyka w pokoju Toruńskim 1466 r.

Wróciło do Polski Pomorze Gdańskie, ziemia chełmińska i michałowska. Nadto wcielono do Polski zachodni pas Prus z Elblągiem i Malborgiem, oraz Warmję. Prusy Krzyżackie zostały przy Zakonie, jako lenno polskie.

W wojnie trzynastoletniej dzielnie wspierały miasta pruskie, jak np. Gdańsk, którego okręty odniosły szereg zwycięstw morskich nad Krzyżakami. Od pokoju Toruńskiego utrwaliły się nazwy ziem nadmorskich. Ziemie, leżące na zachód od Wisły, nazwano Prusami Królewskiemi albo Zachodniemi, ziemie, pozostałe przy Zakonie, Prusami Książęcemi albo Wschodniemi.

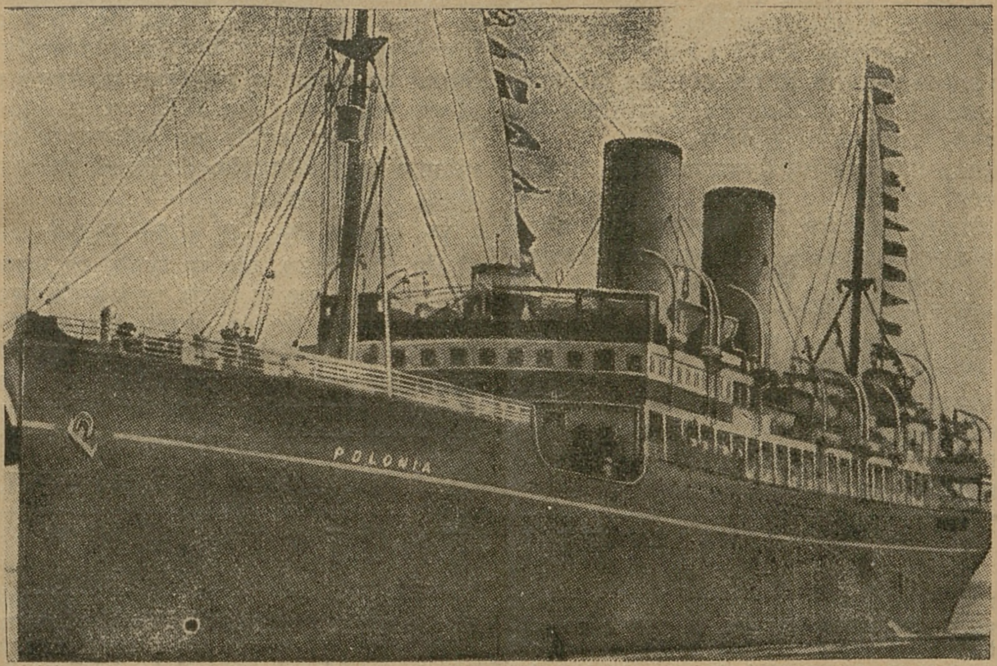
Odtąd też datuje się szybki rozwój Gdańska. Port gdański stał się jednym z najważniejszych na Bałtyku.

Zakon zgnieciony w 1410 r. chylił się ku upadkowi. Nie mając już racji bytu, bo misja jego była już skończona, stał się anachronizmem wśród nowożytnych narodów. Zrozumiał to ostatni wielki mistrz Albrecht, zrzucił suknie zakonne, przyjął protestantyzm i za zgodą Zygmunta Starego, ogłosił się księciem świeckim 1523 r. Nie wiedziała Polska, że w ten sposób wyhoduje sobie późniejszego mordercę. Ogólny entuzjazm, że wreszcie Polska pozbywa się odwiecznego wroga, przygłuszył prorocze słowa arcybiskupa Wilcza, który w czasie składania hołdu, wyrzekł słowa: „Nie dotrzyma królowi przysięgi ten, który Bogu nie dotrzymał“.

Mimo ciągłych walk o Pomorze, Polska do czasu panowania Zygmunta Augusta nie miała wyraźnej linji politycznej w stosunku do ziem północnych. Pierwszy stworzył ją Zygmunt August. On to zerwał z dawną polityką wtrącania się do spraw wewnętrznych Czech i Węgier, a skierował wysiłki narodu na północ. On pierwszy zamierzał znieść odrębność Gdańska, który w owych czasach był nieomal samodzielną rzeczpospolitą kupiecką.

Zygmunt August pierwszy zrozumiał ważność posiadania morza i umiał nagiąć politykę państwa do tego celu.

Unja polsko-litewska i pruska była wyrazem jego dążeń do opasania Bałtyku, koliskiem wpływów polityki polskiej.



Okręt polski „Polonia".

Dokładne określenie wytycznych do „panowania na morzu" (imperium maris) podane zostało w tak zwanych konstytucjach Karnkowskiego, które, niestety nie weszły całkowicie w życie.

W związku właśnie ze swą polityką stworzył Zygmunt August pierwszą polską flotę morską. Naczelne dowództwo nad nią poruczył Tomaszowi Sierpinkowi, który otrzymał urzędowy tytuł „hetmana wojska morskiego". Była to coprawda flota nieliczna, liczyła zaledwie 15 okrętów, wszakże sam fakt stawiania pierwszych kroków w tej dziedzinie zasługuje na podkreślenie. Za przykładem Zygmunta szli później jego następcy, jak Stefan Batory, Zygmunt III, Władysław IV, budując za pieniądze z własnej szkatuły okręty. Niestety tych szlachetnych poczynań nie rozumiał naród i nie poparł swych królów.

Godnymi następcami idei Zygmuntowskiej byli: Stefan Batory i Zygmunt III. I oni starali się utrwalić panowanie Polski nad Bałtykiem na linji od Persanty aż poza Niemen, staczając walki, jak Stefan Batory, z Moskwą, która w tym czasie parła już ku morzu, lub krusząc kopje o mury buntującego się Gdańska.

Ale już za panowania Zygmunta III, polska polityka morska zaczęła wstępować na złe drogi. Zygmunt III sprawę północną wiązał ze swemi dynastycznemi dążeniami, podporządkowując interesy publiczne osobistym.

Na Polskę ściągnął Szwedów, stracił w walce z nimi Inflanty, a w kraju poderwał zaufanie do polityki bałtyckiej. Punkt ciężkości interesów Polski począł się przenosić na wschód i odtąd kwestja wschodnia jest zasadniczem zagadnieniem polityki zewnętrznej. Za jego też panowania dokonał się fakt, który był przekreśleniem i ostatecznem załatwieniem kwestji Prus Wschodnich.

Prusy Wschodnie na zasadzie traktatu krakowskiego w 1525 r., w razie wygaśnięcia linji Hohenzollern - Anspach, miały przejść na własność Polski.

Tymczasem już Zygmunt August nadał elektorowi brandenburskiemu prawo ewentualnego dziedzictwa tej ziemi.

Jakoż za Zygmunta III wygasła linja anspachska. Brandenburgja przyłączyła Prusy Wschodnie (1618 r.) początkowo, jako lenno polskie, które w kilka lat później zniósł Jan Kazimierz traktatem letawsko-bydgoskim 1657 r.

Czasy następców Zygmunta III, to już nieomal całkowite pogrzebanie sprawy Pomorza. Polska, zaangażowana zbyt silnie na wschodzie, Pomorzem przestała się zajmować. Władysław IV i Jan Sobieski robili jeszcze usiłowania, aby sprawę Pomorza wydobyć z zapomnienia. Plany ich jednak spełzły na niczem.

Tymczasem połączone kraje: Prusy Wschodnie i Brandenburgja rosły w siły, rozszerzając zasięg swych wpływów i na Pomorze.

Wreszcie w 1701 r. wyniosły na króla Prus Fryderyka, elektora brandenburskiego. Prusy Królewskie stały się odtąd igraszką w polityce nowego państwa. I oto w roku 1772 wróg, którego Polska sama sobie na własnym organiźmie wyhodowała, dokonał zaboru jej ziem Północnych.

Po latach niewoli, znów Polska odzyskała Pomorze, nie w tych, co dawniej granicach i nie w tych, w jakich życzyli sobie ludzie dobrej woli, ale pamiętajmy, co powiedział Roman Dmowski, że „jeżelibyśmy w przyszłości te ziemie stracili, znaczyłoby to, że odbudowane państwo polskie znaczyna znów upadać“.

W. M., G.P.H.S.

INTELIGENCJA.

Terminu inteligencji używamy bardzo często, nawet w życiu codziennem. W mowie potocznej termin „inteligencja“ posiada znaczenie bardzo rozległe i zmienne. Mówimy często, to człowiek inteligentny, lub, ten człowiek ma wygląd bardzo inteligentny. Przeciwstawiamy także człowieka inteligentnego — głupiemu, ciemnemu, prostakowi a nawet się zdarza — człowiekowi wykształconemu. Miarą inteligencji nie jest ani nasza pamięć, ani wiedza, ani bystrość, ani sposób zachowania się. Natomiast sama inteligencja oznacza pewną dyspozycję, pewne uzdolnienie do wykonywania czynności. Więc gdy chcemy zbadać wielkość inteligencji, musimy przedewszystkiem wiedzieć o owych dyspozycjach, mu simy zanalizować duchową naturę danego człowieka.

Chcąc teraz podać właściwą definicję pojęcia inteligencji, trzeba jeszcze powiedzieć, że sama istota dyspozycji psychicznych nie polega na wykonywaniu pewnych określonych funkcji, lecz na urzeczywistnieniu pewnych celów. Określenie inteligencji według Wiliama Sterna brzmi: „Inteligencja jest ogólną zdolnością jednostki do świadomego nastawienia swego myślenia na nowe wymagania; jest ona ogólną zdolnością duchową, przystosowania się do nowych zadań i warunków życia“.

A więc wobec powyższego określenia nie może zasługiwać na miano inteligencji czynność intelektualna; ogół tych zjawisk psychicznych, które nie mają wzruszeń lub aktów woli. Nie należą do inteligencji: zdolność sądzenia, wnioskowania, zdolność ujmowania zagadnień i kombinowania, definjowania, krytykowania, zdolność radzenia sobie i szybkiego się orjentowania.

Z tego więc wynika, że należy koniecznie oddzielić samą inteligencję jednostki od jej natury uczuciowej, jej natury woli, nawet w zakresie czysto intelektualnym, należy inteligencji wyznaczyć zupełnie oddzielne i własne pole. Lecz trzeba umieć rozróżnić inteligencję od talentu. Jeżeli talent jest sprawnością skierowaną wybitnie w jednym kierunku, to inteligencja jest sprawnością formalną. Człowiekiem inteligentnym nazwiemy tego, który w najróżnorodniejszych warunkach życia, w najrozmaitszych sytuacjach potrafi sprostać duchowo nowemu położeniu i za każdym razem myśleć celowo.

Z drugiej zaś strony nie należy pojęciu zdolności przystosowania się nadawać zbyt jednostronnego i ciasnego znaczenia. Nie należy przez to sądzić. że inteligencja polega wyłącznie na najlepszem przystosowaniu się do danej chwili. Takie rozumowanie jest błędnem. Znajdują się przecież najprzeróżniejsze objawy życia, które nie polegają jedynie na wykonywaniu danej chwili, na przystosowanie się do niej jak najbardziej celowo, ale polegają na przewidywaniu. Naj wyższe przejawy inteligencji odzwierciadlają się najlepiej właśnie w wyprzedzaniu wypadków. Jednakowoż te wypadki podpadają pod kategorję przystosowania się, z tą różnica, że nie przy stosowujemy się do warunków otoczenia, lecz tylko do warunków możliwych. Jak mówi Stern: „Inteligentny wódz, wydając rozkazy doraźne, musi się liczyć z zawsze możliwemi zmianami położenia wojennego; inteligentny giełdziarz opiera swe spekulacje dnia dzisiejszego na przyszłym urodzaju lub na przewidywanych powikłaniach politycznych“. Jak więc wynika z powyższego, wszędzie mamy do czynienia z reakcją przewidywania. Sama inteligencja jest w wielkiej zależności od zewnętrznych czynników



Krajobraz z Karpat.

od zewnętrznych warunków życia, lecz nie jest i bez wpływu na życie intymne wewnętrzne. Wielostronność przystosowania się człowieka, bardzo często nie idzie w parze z samopoczuciem człowieka, w dążeniu samorzutnem do urzeczywistnienia wytkniętego pełnego treści danej osoby ideału. Inteligencja sama w sobie nie jest wartością, którąby wskazywała jakiś kierunek wychowaniu lub też życiu zawodowemu. Inteligencję powinniśmy uważać jako jedną z sił, w ogólnej sumie sił duchowych człowieka. Sama zdolność przystosowania jest w samej rzeczy nie najważniejszym czynnikiem, lecz jednak bardzo ważnym przy chęci osiągnięcia celu przez daną jednostkę. Inteligencia sama w sobie jest tylko środkiem, wartościowym, lub bezwartościowym, w zależności od celów, które za pomocą niej mamy zamiar osiągnąć.

Badania inteligencji — ze względu na istotę metody — możemy grupować w trzech kierunkach: 1. metody obserwacyjne i eksperymentalne, 2. metody poznawcze i rozpoznawcze, (diagnostyczne), 3. stwierdzanie poszczególnych funkcji i ogólnej inteligencji człowieka.

Ponieważ metodyka psychologiczna rozwijała się niedokładnie w opinjowaniu o ludziach, przeto zastąpiono ją przez ścisłe, dające się skontrolować postępowanie eksperymentalne, polegające na stosowaniu rozmaitych testów. Przez wyraz „test“ rozumiemy sformułowanie ściśle określonego zadania, które ma doprowadzić do ujawnienia pewnej oznaczonej właściwości psychicznej. Testów mamy wiele rodzajów, a mianowicie: Mosselona, Ebierhauza, Yekesa, Binet‘a, Bonrdas‘a i Siman‘a, i Wiolliama Sterna iloraz inteligencji.

Iloraz ten wskazuje, jakim ułamkiem inteligencji przeciętnej rozporządza dana jednostka. Dla dziecka przeciętnego, w zależności od wieku życia, iloraz ten zawsze musi się równać jedności. (I. I = W. I : W. Ż. Wzór na używanie ilorazu inteligencji). U dzieci opóźnionych w rozwoju iloczyn inteligencji jest ułamkiem właściwym. U dzieci zaś o rozwoju przyśpieszonym liczbą mieszaną. Iloraz inteligencji tylko wtedy może zachować wartość stałą, gdy rozwój inteligencji, mimo różnego tempa rozwoju, przebiega proporcjonalnie do rozwoju normalnego. tak że stosunek procentowy w różnych latach pozostaje ten sam. Ten przebieg proporcjonalny. może jedynie zachodzić w latach normalnego rozwoju inteligencji. Zaś testy słynnych badaczy inteligencji Binet‘a i Simon‘a polegały na tem, że wzięli oni pięć testów, odpowiednio standaryzowanych, na rok życia jednostki. Jeśli zostały rozwiązane wszystkie pięć testów, to wiek inteligencji równał się wiekowi życia.

„Ewu“ G. Z. S. K.

Za każdym krokiem w tajniki
stworzenia
Coraz się dusza ludzka rozprzestrzenia
I większym staje się Bóg.
(Nad Głębiami).

NASZA POLEMIKA.



Do Redakcji „Świata Szkolnego”.

Proszę uprzejmie o umieszczenie w „Świecie Szkolnym“ kilku uwag na temat artykułu „Pro domo mea“ z numeru 4 (31).

Autor powyższego artykułu miał na celu obronę Żeromskiego przed zarzutami kol. Mączewskiej. Pominąwszy ton pełen złośliwości i ironji, wystosowanej zarówno do autorki jak i do jej artykułu, przyznaję, że cel został osiągnięty, ale tylko w jednej części artykułu, a cóż nam przynosi drugi?

Zanalizujmy kilka poszczególnych myśli. Już na wstępie tego „ataku“ na Sienkiewicza, uderza nas zdanie „zarówno śmiałe jak i płytkie“: „A teraz obaczmy, czy słusznie gloryfikuje autorka Sienkiewicza?“ Otóż autora „Trylogji“ nie potrzebuje go gloryfikować, bo dzieła jego okryły go nieśmiertelną chwałą, nietylko w Polsce, ale na całym świecie, a najlepszym dowodem tego jest nagroda Nobla, którą uzyskał za „Quo vadis“, pomimo że (jak utrzymuje kol. Ziółek) popisał się brakiem znajomości czasów starożytnych.

Nad pytaniem zaś: „Czy Sienkiewicz, mimo całej swej zasługi, zdziałał tyle dla zbudzenia ducha w niewoli, co Żeromski“ — radzimy autorowi artykułu „Pro domo mea“ zastanowić się poważniej i nieco gruntowniej zaznajomić się z wpływem Sienkiewicza na naród polski.

W dalszym ciągu artykułu czytamy, że artystycznie wyszedł Sienkiewicz też „nie tęgo“. Przedewszystkiem pytamy, jakie znaczenie mają słowa „nie tęgo“? bo jeśli chodzi o kompozycję i koloryt powieści, nie każdy pisarz pod tym względem może się równać z Sienkiewiczem, a to „nie tęgo“ możemy raczej zastsosować do artykułu „Pro domo mea“, który robi na nas wrażenie wróbla, rzucającego się na orła.

Autor znajduje w „Trylogji“ manierę i szablon, oparty na powtarzaniu tych samych wątków i postaci (?). W tym wypadku możemy wyrazić tylko nasze ubolewanie, że nie był zdolny nic więcej spostrzec i radzimy autorowi (według własnych jego słów) zabrać się do czytania dzieł Sienkiewicza, a nie „krytyk“ o Sienkiewiczu (Zielińskiego czy innych).

Jeżeli autor sądzi, że w epoce, w której kwestja socjalna była prawie nieznana „dwór królewski i senatorzy, magnaci polscy i litewscy, rycerstwo i szlachta nie jest narodem“, to prosimy uprzejmie o wskazanie nam innych składników narodu żywotnego i występującego na widowni politycznej. Czy wymagamy, aby Sienkiewicz w „Trylogji“ mówił o tych, którzy wówczas odgrywali bardzo nieznaczną rolę (choć i ci nie są pominięci), czy też, aby w swej twórczości poruszał zagadnienia socjalne, jeśli on właśnie uważa za stosowne rozwijać talent w innych dziedzinach? Możemy mówić, że wiek „Potopu“ odmalował Sienkiewicz jednostronnie, bo to zależy od punktu naszego widzenia, ale twierdzić, że poza wichurą prawie homeryckich bojów, poza malowniczością tła, poza bogactwem archaicznych

zwrotów — „Trylogja" nie zawiera nic — tego nam nie wolno! Dajemy bowiem świadectwo zupełnego braku znajomości dzieł Sienkiewicza, lub też naszych pobieżnych poglądów.

Nie znajdziemy Polaka, któregoby serce nie biło gwałtowniej tętnem uczuć narodowych i patrjotycznych, podczas gdy myśl z niecierpliwością śledzi chwile chwały i klęski polskiego oręża, tak pięknie oddane w „Trylogji". Któż zdoła z czasów istotnie smutnych wysnuć tyle siły, tyle otuchy i wiary, którąby krzepiła serca złamane długoletnią niewolą, nie mijając się równocześnie z prawdą?

Wiele możemy uczynić zarzutów artykułowi, który chce koniecznie, a bardzo nieopatrznie obniżyć wartość Sienkiewicza w naszych oczach, opierając się chyba tylko na złej woli, a takich ludzi, jak słusznie utrzymuje autor, nic nie przekona!!!

Jeżeli „nie można, a właściwie nie należy przenosić Sienkiewicza nad Żeromskiego, ani odwrotnie, gdyż to jest oznaką tylko... dzieciństwa..." to dla czego właśnie sam autor to uczynił? „Jeżeli można mówić, który z tych dwu pisarzy jest komuś bliższy — ale nie... większy" to dlaczego autor to mówi?

Doprawdy, poszczególne zdania przeczą treści, a więc znalazła tu miejsce nielogiczność i niekonsekwencja!

W. Hillerówna, „Nauka i Praca".

„Medio tutissimus ibis".

Nie wiem, jakiej dyskusji spodziewał się, pisząc swój artykuł kol. Ziółek, ale w istocie otrzymał wielce nieszczęśliwą odpowiedź, a i sam odpowiedział także nieszczególnie. Sądząc, że z pewnością większość czytelników „Świata Szkolnego" nie zgadza się na wywody żadnej ze stron, zabierających głos w polemice, pragnę dołożyć tu kilka swoich spostrzeżeń.

Konflikt wywołało owo niefortunne porównanie kol. Ziółka, oddziaływania utworów Żeromskiego i Sienkiewicza, przyczem tego ostatniego potraktował autor, jak Zarzycką.

„Ciepło miluchne", „przyjemna pogoda ducha", „miły optymizm", „różowy nastrój" — to charakterystyka godna chyba... aż „Dzikuski", a nie dzieł Sienkiewicza.

Kol. Mączewska, stając w obronie autora „Trylogji", pognębiła srodze Żeromskiego, a kol. Ziółek w odpowiedzi nie mógł się oprzeć chęci rzucenia kamieniem ostrej „krytyki" na Sienkiewicza.

Trzeba przyznać, że zabawnie wyglądają takie przykłady „objektywizmu".

Odpowiedziawszy na kilka zarzutów, stawianych przez kol. Mączewską Żeromskiemu, trafia kol. Ziółek na twierdzenie, że autor „Przedwiośnia" „nie podaje środków do zaradzenia złu" i odpowiada, że „dobrem będzie antyteza zła".

Czyż tak jest w istocie? Czy pokazanie dobra to naprawdę podanie sposobów pokonania zła? Nie! To dopiero wyknięcie celu!

Żeromski jednak wskazuje drogi, prowadzące doń, aby się o tem przekonać, trzeba tylko przeczytać, choćby „Ludzi bezdomnych". Dr. Judym podaje przecież niejeden środek polepszenia doli proletarjatu.

Kol. Mączewska, pisząc, że „z buntów, pożarów, łez, nie może powstać państwo chrześcijańskie", nie miała racji, ale myślała zapewne o owym „ideale państwowości", a nie o kraju, w którym religja katolicka ma specjalne przywileje.

A więc nie „o to chodzi!" Sądy autorów obu artykułów o Baryce są djametralnie różne.

Kol. Mączewska nazywa go „człowiekiem bez zasad, bez moralności", kol. Ziółek — „lepszym typem człowieka i obywatela".

Jedna odmawia mu wszelkich instynktów ludzkich, drugi utożsamia go prawie z Żeromskim, a mnie się zdaje, że Baryka był młodzieńcem, o charakterze i dążeniach jeszcze nieskrystalizowanych, przedstawicielem całej młodzieży polskiej po wielkiej wojnie, chwiejnej, niepewnej co czynić i myśleć, o kórej losy drżało serce wielkiego pisarza.

Od wszystkich niczem nieuzasadnionych zarzutów kol. Mączewskiej dzielnie obronił Żeromskiego kol. Ziółek, zapominając jednak zupełnie o słowach autorki odpowiedzi: „Jak wspaniale dopełniliby się ci dwaj pisarze, gdyby nie fatalna jednostronność Żeromskiego". O ile mogę wywnioskować z artykułu, koleżanka uważa za jednostronność przedstawianie przez autora „Przedwiośnia" zła i tylko zła!

A czy mało jest w jego utworach pięknych postaci i dobra?

Niech sobie koleżanka przypomni „Siłaczkę", Nienaskiego. Jeżeli nazwiemy Żeromskiego jednostronnym, to tak samo musimy nazwać Sienkiewicza, którego koleżanka tak gorąco broni, gdyż on budzi naród do czynu i walczy tylko dobrem, tak przecież koleżanka twierdziła.

Kol. Ziółek powinien stanowczo zobaczyć nietylko przysłowiowe źdźbło w oku przeciwnika, ale i belkę we własnem, aby nie narażać się na zarzuty o... „dzieciństwo". Jak można zarzucać komuś, że przenosi Sienkiewicza nad Żeromskiego, gdy się robi to samo? Przecież kolega wyraźnie wyżej stawia Żeromskiego, odmawiając wartości Sienkiewiczowi!

Jakiej niekonsekwencji autora dowodzi dana kol. Mączewskiej rada, aby nie czytała „krytyk“, lecz dzieła, gdy on sam nietylko mocno się „opiera“ na „krytykach“, ale się na nie powołuje! Dla zdruzgotania Sienkiewicza bierze kolega pod uwagę „Rodzinę Połanieckich“; a czyż ktokolwiek podnosi jego zasługi, jako autora tego dzieła?

Więc sztych wymierzony w próżnię!

Twierdzi kolega następnie, że w „Quo vadis?“ niema wielkiej znajomości historji. Słusznie. Ale czy Sienkiewicz był obowiązany trzymać się ściśle źródeł historycznych? Czy dla spotęgowania kontrastu między chrześcijaństwem, a pogaństwem nie mógł przedstawić Rzymu w stanie o wiele gorszym, niż był w rzeczywistości?

„Nikt nie przeczy, że Sienkiewicz zajmował się ludem, ale gdzie robotnik etc?“ Dziwna logika!

Ponieważ Żeromski zajmował się robotnikiem i owem tajemniczem „etc.“, a zatem wszyscy bez wyjątku pisarze muszą się nim także interesować, gdyż inaczej utwory ich nie będą „nic zawierały“.

Tak sądzi kol. Ziółek, a ja i, zdaje się, większość Koleżanek i Kolegów uważamy, że, choćby ktoś nawet nic nie wspomniał w swem dziele o robotniku, może być równie wielki, albo i większy, niż Żeromski!

Kol. Mączewska zapoznała się już zapewne z definicją narodu z „Polski współczesnej“ i na drugi raz zamiast tego wyrazu użyje, mówiąc o „Trylogji“, zwrotu: warstwy uświadomione pod względem narodowym.

O tem, kto więcej określeń puszcza „na zmienne wiry, niby krytycznej frazeologji“, mówić nie będę, przyznam się tylko kol. Ziółkowi, że mimo wszelkich trudów nie mogłam zrozumieć, jakim właściwie „pozostanie na zawsze ten Sienkiewicz“, którego kol. Mączewska chciała podobno „zabronzować“. Widać, że nietylko koleżanka, ale i kolega wybrał się z odpowiedzią niezupełnie szczęśliwie.

I mimo, że obie strony będą z tego może niezbyt zadowolone, twierdzę, że obydwaj pisarze doskonale się dopełniają. Jeden wzywał do walki o niepodległość, budząc w sercach nadzieję zmartwychwstania Ojczyzny, drugi rzucał hasła uporządkowania kraju wewnątrz, zrównania wszystkich klas i polepszenia doli, zwłaszcza naj niższej warstwy, proletarjatu.

Nie przeczę bynajmniej, że dla nas, młodzieży, żyjącej w Polsce odrodzonej, mniej może aktualna i żywotna jest ideologja Sienkiewicza.

My nie potrzebujemy już, na szczęście, wywalczać sobie niepodległości, pragnęlibyśmy jednak utrzymać ją i utrwalić i dlatego serca nasze zwracają się ku temu, który ukazał nam wizję „szklanych domów, który nas, młodych w „słowie o tandosie‘ wzywał do walki o starcie z oblicza ziemi wszelkiej krzywdy i przemocy człowieka nad człowiekiem.

Kol. Ziółek słusznie wspomniał, że jałowa jest dyskusja nad tem, który z tych dwu pisarzy jest większy. Możnaby tylko stwierdzić, że jeden z nich jest bliższy sercu czytelnika, ale to nie jest tematem do sporów. Mnie się zdaje, że ze względu na naszą przyszłą rolę w państwie, właśnie Żeromski jest nam bliższy, ze względu na ideologję swych dzieł.

Pamiętamy jednak i o tem, czem był Sienkiewicz, dla starszych od nas bojowników o wolność, którzy, idąc do szeregów legionowych, zabierali ze sobą „Trylogję“.

Obaj kochali gorąco Polskę i niemało przyczynili się do Jej Odrodzenia.

Cześć Im obydwu za to, co uczynili, i za to, co jeszcze chcieli uczynić!!!

L. Stankiewiczówna G. P. J. S.

NA MARGINESIE W SPRAWIE POLEMIKI.

„Świat Szkolny“ już od początku swego istnienia budził powszechne zainteresowanie wśród uczącej się młodzieży.

Przyznać trzeba, że pismo to, jako nasza praca, było naprawdę miłą rozrywką w wolnych chwilach.

Bo czegóż tam niema! Obok poważnych artykułów, dotyczących spraw aktualnych i drobnych prac literackich, znajdziemy „zdrowy humor“, — słowem „Świat Szkolny“ odpowiada swemu zadaniu. Lecz najbardziej może zajmuje nas wszystkich ciekawa polemika literacka. Śledząc bowiem wzajemną wymianę myśli, mamy możność zapoznania się z różnemi poglądami w kwestjach, które wszystkich żywo obchodzą.

Polemika już na ławach szkolnych wzbudza zapał do pracy nad sobą i do pracy społecznej, czekającej nas w niedalekiej przyszłości. Nieraz jednak zagadnienia doby obecnej są tak zawikłane i trudne do rozwiązania, że nie łatwo zdać sobie sprawę, jaki pogląd na nie byłby słuszny. Cóż mówić o nas, którzy dopiero zapoznajemy się z wirem spraw, skoro niejednokrotnie nawet nasze powagi naukowe są bardzo ostrożne w wypowiadaniu zdania w danych kwestjach.

A jakiż z tego wniosek? Oto przedewszystkiem, aby polemika odpowiadała

swemu zadaniu musi być rozważną i umiarkowaną w ujęciu zagadnień spornych, a to w tym celu, by uniknąć niemiłych konfliktów i nie zniechęcać piszących do dalszej pracy.

Rzućmy okiem na polemikę, toczącą się na łamach „Świata Szkolnego". Czy posiada ona wymienione właściwości, bez których niepodobna wyobrazić sobie ciekawej polemiki? Niestety, przyznać trzeba, że w ostatnim numerze minęła się ona ze swojem zadaniem i zaćmiła miłą atmosferę, panującą dotąd w „Świecie Szkolnym".

Nie jest naszym celem poddawać krytyce wyżej wspomnianej polemiki, lecz tylko zwrócić uwagę na ton w niej panujący.

Przedewszystkiem polemika ta nie jest traktowana „na chłodno" i skutkiem tego spotyka się w niej nieodpowiedni dobór wyrazów.

Wszyscy musimy zdać sobie sprawę, że młodzież, kształcąca się na terenie szkół średnich, stoi mniej więcej na jednakowym poziomie umysłowym. Spotyka się wprawdzie jednostki o nieprzeciętnym intelekcie, lecz te nigdy nie usiłują wykazać swej wyższości przez bezwzględne potępianie i ironizowanie zdań sprzecznych z własnem; każdą zaś pracę, podawaną do wiadomości ogółu wartoby dokładnie przemyśleć.

Ale na tem nie koniec.

Istnieją przecież pewne prawa grzeczności, których i w polemice przestrzegać należy. Obok wyżej wspomnianych zarzutów ten jest jednym z ważniejszych czynników, wywołujących nasze uwagi — wszak grzeczność jest wytworem kultury wieków; czyż więc usunięcie tejże grzeczności z życia nie zepchnęłoby świata do takiego stanu, w jakim znajdował się w dawnych czasach? A przecież, jeśli świat ma iść z postępem, to trzeba kulturę uszlachetniać, a nie pomijać jej zasadniczych podstaw.

Uczenice VIII kl. Gimn.
SS. Najśw. Rodziny z Nazaretu.

„POLEMIZUJĄCYM STRONOM"...

Jeszcze niedawno temu, bo tygodni kilka,
Została „biedna owca pożarta przez wilka",
Kto „wilkiem", a kto „owcą" domyśleć się snadnie,
Jeśli komu do ręki nasz „Świat Szkolny" wpadnie.

Tam na jednej z stron wielu artykulik mały
Zasługom Żeromskiego poświęcony cały,
Kilka zaledwie myśli, jakby trzaskiem bicza
Przekreśla całkowicie sławę Sienkiewicza.

Lecz znalazł się obrońca... i to kto czy wiecie?...
„Twór" z „Nauki i Pracy", „twór" słaby jak dziecię,
Podjął pióro w imieniu Europy prawie,
Stanął szybko i dzielnie we wspólnej nam sprawie.

I zawstydził nas wszystkich, zadaniu podołał,
Odpowiedział stanowczo, nakoniec zawołał:
„Patrz przyszły maturzysto i zapisz to sobie,
Że nie wolno źle mówić o tych, co są w grobie".

Wielbiciel Żeromskiego z pola nie ustąpił,
Ba, wziąwszy większy rozpęd, tem silniej nastąpił
Powagę i zalety „Quo Vadis" autora,
Jakgdyby panowała w nim wielka przekora.

Mówił tedy z ironją: „Koleżanko! „ego"...
Radzę Pani przeczytać książkę Zielińskiego,
Sic! wtedy pogadamy (i to jeszcze jaak...),
Zieliński kompetentny! (tak—taak, tak—taak...)

W następstwie tych wypadków, z siódmej klasy grona
Takato rezolucja była uchwalona:
„Nam szkolna bibljoteka książki wypożycza,
Przesłać mu w odpowiedzi „Potop" — Sienkiewicza!..."

Może swój „mleczny" pogląd troszeczkę odmieni,
„Choć podobno złej woli i batem nie zmieni",
Jak orzekł w artykule sam „mentor"—kolega.
(Może słusznie szeptano, że mu „coś".... dolega).

Stąd nauka dla wszystkich: „własnym sądom wierzyć,
Gdy się ma wątpliwości, gruntownie rozważyć.
Nie jakichś tam Zielińskich za połę się trzymać,
Dzieł zaś samych autorów umysłem nie imać".

Przeto nakoniec powiem moją skromną radę,
A nawet i moralny obowiązek kładę.
I choć ci tu przyjaciel książek nie wylicza:
„Zamiast krytyk niezdarnych, czytaj

Sienkiewicza!...."

T. Dąbrowski G. P. T.

GDYNIA, PORT i MIASTO.

Polska, jako naród 30 miljonowy, prowadzący intensywny handel zamorski, nie mogąc się zadowolić portem Gdańskim, który nie może jej dostatecznie obsłużyć, zmuszona była wybudować własny port. W najodpowiedniejszem miejscu obrano małą osadę rybacką Gdynię, i tu Rząd Polski rozpoczął w roku 1921 budowę drewnianego molo, wypełnionego kamieniami, 25 kwietnia 1923 roku ówczesny Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Wojciechowski, oficjalnie ogłosił Gdynię, otwartym portem morskim. W tym samym roku sejm uchwalił budowę portu, na podstawie projektu polskiego inż. Wendy. Koszty budowy oszacowano na 50 miljonów złotych. Z tej sumy 35 miljonów miało iść na budowę: molo, łamacza fal, rozbudowę nadbrzeża i roboty pogłębiania, reszta zaś była przeznaczona na budowę kranów, magazynów i dróg wzdłuż brzegów.

4 lipca 1924 roku konsorcjum francusko-polskie, podpisało traktat na wykonanie robót hydrotechnicznych i obecnie niemi kieruje. Pogłębianiem i budową łamacza fal, oraz części nadbrzeża, zajmuje się firma belgijska Aekermans i Van Haaren.

Położenie Gdyni jest bardzo korzystne, przy frachtach tranzytowych z Czechosłowacji, Rumunji i części Rosji. Warunki przystawania okrętów są również dogodne, gdyż zatoka Gdyńska jest oddzielona od burz z pełnego morza półwyspem helskim.

Największe trudności w budowie portu są sprawy finansowe, gdyż budowa portu kosztuje więcej, niż było obliczone, bo prawie 140 miljonów zł. Obecnie i te trudności są pokonywane z pomocą firm prywatnych, które własnym kapitałem wznoszą nowoczesne inwestycje w porcie i mieście. Budowa torów, magazynów i dźwigów, posuwa się szybko naprzód.

Gdzie dawniej wydobywano torf, obecnie są rozłożone olbrzymie baseny portowe. Tam gdzie przed kilkunastu laty nic nie było, powstał port, którego miesięczna zdolność przepustowa doszła do 400,000, a dzienna 14,000 ton. W roku 1930 obrót portowy wynosił przeszło 300,000 ton, osiągnął więc i tem samem przekroczył o 50 procent przedwojenny obrót Gdańska. Ale nie z krzywdą dla Gdańska, gdyż ten zamiast 2,000,000 ton przedwojennych, osiągnął przeszło 8,000,000 ton obrotu. W porcie pobudowano nowoczesne środki przeładunkowe, których zdolność przeładunkowa wynosi około 300,000 ton węgla miesięcznie. Obecnie wykończona chłodnia, może dać nowe możliwości eksportowe dla naszego rolnictwa, uruchomiono łuszczarnie ryżu, która sprowadza surowiec z Indji, a gotowy ryż wywozi do Anglji. W najbliższym czasie zostanie uruchomiona olejarnia, która znów da możność sprowadzenia surowca z Chin, i eksportowania do krajów zamorskich. Gdynia ma obecnie wielkie szanse rozwoju z chwilą otwarcia nowej linji kolejowej, łączącej Śląsk z morzem, omijając terytorjum Wolnego Miasta Gdańska.

Gdynia, dawna osada rybacka, licząca zaledwie kilkaset mieszkańców, liczy ich obecnie 42,632. Olbrzymie budowle jak: poczta główna, dworzec kolejowy, domy handlowe, przyczyniły się do nadania miastu, charakteru wielkiego miasta portowego. **S. Rokita** (Szkoła Handl.

MÓJ ŚWIAT.

Mój świat — to smutek pól przestrzennych...
Złoto jesiennych liści — wiew....
Mój świat — to śmiech z trudów codziennych...
Radość, wesele, humor, śpiew...
Mój świat — to troszkę leśnej woni...
Kwiecia przepyszny nektar — sen...
Mój świat — to bajka, którą goni
Mej duszy każdy objaw drgnień..
Mój świat — to podziw dla natury...
I myśli rzewne, smutek, łzy...
Mój świat — to kwadrat kwadratury,
Gdy mnie napadnie humor zły.......
Mój świat — to dźwięków cała masa...
Harmonja wizyj, życiowa jaźń...
Mój świat — to moja cała krasa,
To ma prześliczna, tkliwa baśń...

Zygter. G. Z. S. K.

„GRUBY MICHAŁ“ i JEGO KOŃ.

Nowela.

I.

Dwie zbiedzone istoty: dorożkarz i jego koń, wypatrywały w ciemnościach człowieka, którysby się nad niemi zlitował.

Miasto wydawało się dorożkarzowi swemu, zwanemu przez towarzyszy dorożkarzy „grubym Michałem“, bardziej ponurem i obcem, niż zazwyczaj. Nic tego dnia jeszcze nie zarobił, a przecież tylu ludzi przechodziło już dziś obok jego dorożki, tylu bogatych ludzi, dla których zapłata za jazdę dorożką, tak mało znaczy... A on, w każdym lepiej ubranym człowieku, idącym w kierunku dorożki widział pasażera i łudził się, że zwróci się ktoś wreszcie do niego, że w tem wielkiem, kamiennem mieście, zabije czyjeś serce z litości, choćby nad jego wychudłym koniem.

Ale przechodnie mijali jego dorożkę i szli dalej, zajęci własnemi troskami. Smutne, smutne życie — myślał Michał. Niedola i niedola, ból i ból, żadnej pociechy, żadnej jasnej chwili. Miasto obce i jakieś złowrogie, ludzie obojętni, Bóg nawet gniewny jest dzisiaj, bo zesłał mroźny wiatr... W tem rozjośniły się Michałowi oczy, albowiem młody, przyzwoicie ubrany człowiek podszedł do dorożki i kazał się wieźć na jedno z przedmieść. „Mądry jest Bóg, — pomyślał Micha, kiedy ruszyli — mądry, a dobry. Gdy się człowiek namęczy, gdy się pomartwi dobrze nad swoją dolą, to mu dopiero daje coś przyjemnego do przeżycia, żeby umiał to dobre należycie ocenić...“

I podciął Michał swego konia i żwawo jechali. Ale nie darmo trwał w naprężeniu cały dzień, nie darmo się męczył. To też znużenie ogarniało go ogromne i dobry humor, przeszedł wkrótce w błogostan. Głowa opadła mu na piersi, powieki przymknęły się, ręce opadły między kolana. lejce ledwo trzymał w palcach. Ale myślał zupełnie logicznie... Jego szkapa nie pierwszy raz go przecież wiezie sama, a ulicę zna dobrze, bo nią codziennie, od wielu już lat jeździ do domu.

Więc pozwolił szkapie, by go prowadziła. Rozczulił się nawet i pomyślał, że to wyjątkowo poczciwa i przemyślna szkapa. W tej chwili żółty blask uderzył go w oczy... Otworzył je i ujrzał wielką latarnię, o której wiedział, że wisi przy końcu ulicy. Zdziwił się więc, że pasażer jeszcze mu nie kazał zatrzymać się i obejrzał się za siebie. Dorożka wewnętrz była pusta!

Młody człowiek znikł nie zapłaciwszy za jazdę!

Wściekła rozpacz ogarnęła Michała. Zeskoczył z dorożki i począł rozglądać się wokół. Wpadło mu na myśl, że gdyby dojrzał jeszcze swego oszusta, to z pewnością zabiłby go.

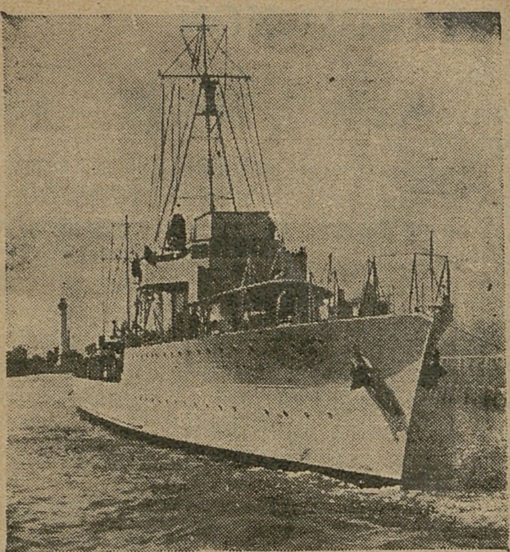
I rzeczywiście schwycił leżący w pobliżu duży kamień i począł nim wygrażać... ciemnościom.

II.

Był piękny wiosenny dzień. „Taksówka“ Michała, którą kupił, sprzedawszy konia i dorożkę, błyszczała, wymalowana na zielono. Barwa ta dostrajała się do wesołego, wiosennego, świątecznego niemal nastroju.

Michał z okazji dość grubego zarobku z dnia poprzedniego, kupił flaszkę wódki wespół z innym szoferem, poczem wypili ją w jednej z pobliskich bram..

Podniecony trunkiem, czuł się błogo. Z przyjemnością zdjąłby buty i biegałby sobie boso po rozgrzanym przez wiosenne słońce chodniku, jak pięcioletni dzieciak, a nie pięćdziesięcioletni szofer, z dość okazałym brzuchem, który koledzy Michała nazywali „walizą“. Refleksje te przerwała mu pani w podeszłym wieku, która wsiadła do jego samochodu i kazała się wieźć na wskazaną ulicę. Motor zawarczał i samochód szybko popędził naprzód... ale myśli Michała znacznie go wyprzedziły i bujały kędyś w rodzinnej wsi, za ojcową zagrodą. Dobre to były czasy — myślał



Kontrtorpedowiec „Wicher".

kiedy człowiek miał za zadanie panować nad jałówką o wiele mniej skomplikowaną i wynarowioną, niż jego maszyna. Och! — wyrwało mu się nagle — mało brakowało, bym wpadł na ten wózek z tym małym koniem... Ów „wózek z małym koniem" przypomniał Michałowi jego starego, poczciwego konia.

Rozczulił się na jego wspomnienie i taki żal ścisnął go za gardło, jakby po stracie przyjaciela - człowieka. Dobra, kochana szkapa.

Małoż to razy pozwolił jej, by go wiozła sama, kiedy on był już bardzo znużony. Wydało mu się, jakgdyby i teraz go wiozła, odgadując zamierzony przez niego kierunek. Puścił kierownicę i położywszy na niej głowę, rozmyślał o swym koniu poczciwym i mądrym. Gotów był nawet uronić łzy pijackiego rozczulenia... Wtej chwili usłyszał okrzyk: na book! Michał ocknął się i schwycił kierownicę, ale jakież było jego przerażenie, gdy ujrzał, że prosto na jego samochód pędzi jego szkapa zaprzężona do obcego wozu i okładana biczem przez obcego człowieka. Ręce na kierownicy zdrętwiały mu, oczy wybałuszył na konia, który tuż, tuż był przy motorze i... w bok nie skręcił.

N. K., G.P.T.

—)x(—

NA OCEANIE NIEBIOS.

NIEBO W MARCU.

Coraz dłuższe i cieplejsze dnie; zbliża się szybkiemi krokami wiosna. Czas do obserwacji nieba bardzo dogodny, a i obiektów nie brak. Wspaniałe gwiazdozbiory zimowe przesunęły się zwolna na zachód. Oko nasze zachwyca Orjon. Między jasnemi gwiazdami Betelgueze i Rigel mieści się słynny „pas" Oriona złożony z trzech jednakowych gwiazd położonych na jednej linji, a zwany w ustach ludu „Trzej Królowie". Powyżej pasa najgorętszą z gwiazd Bellatrix. Na lewo od Orjona nieco niżej tkwi najjaśniejsza gwiazda nieba świetny Syriusz na czele gwiazdozbioru Psa Wielkiego. Wyżej Procjon z Psa małego. Na zachodzie gwiazdozbiór Byka z czerwonym Aldebaranem i najsłynniejszą gromadą gwiazd Plejadami. Na niebie północnem widzimy wznoszący się w górę Wielki Wóz, a przed nim ustępują Kasjopeja, Perseusz, i Woźnica z jasną gwiazdą Koza. Na wschodzie błyszczy wspaniały Arktur, od którego światło biegnie do nas 164 lata. Łatwo go znaleźć, gdyż dyszel Wielkiego Wozu prosto weń wskazuje. Tuż za Arkturem wschodzi przepiękny gwiazdozbiór Korony Północnej; ma on kształt wieńca, w którego środku jaśnieje jak diament gwiazda zwana Gnosia. Droga Mleczna rozciąga się na zachodzie.

Z planet dogodnie widzialne tylko Mars i Jowisz. Mars tkwi w Raku. Tajemniczy ten glob prawie 7 razy mniejszy od Ziemi biegnie wokół Słońca w towarzystwie dwóch księżyców. Są one bardzo drobne bo liczą zaledwie 15 i 17 km. średnicy i krążą tuż przy powierzchni planety. Nazwy ich są: Fobos i Deimos co znaczy Przestrach i Przerażenie. Jowisz znajduje się w Bliźniętach. Planeta ta posiada aż 9 księżyców, z których cztery widać już przez lornetkę.

21 marca zaczyna się wiosna. 1 — pełnia księżyca, 11 ostatnia kwadra, 19 — nów, a 27 — pierwsza kwadra. Oto księżyc świat tajemnic. Dreszcz nas przechodzi, gdy patrzymy na olbrzymie cyrki i kratery, gdy widzimy morza księżycowe, te groźne, bezpowietrzne, bezwodne, straszliwie ciche i martwe pustynie spalone promieniami Słońca, lub skute potwornym mrozem. Niewyczerpane jest bogactwo niebios. A więc, kto ma wieczorem trochę czasu, to zamiast tracić go na bezmyślne łazikowanie, niech przejrzy gwiazdozbiory i nie zważając na docinki ze strony złych i małodusznych kolegów niech dowiedzie, że jest człowiekiem zdolnym do poznania piękna. Naród bowiem, który wydał Kopernika winien iść jego śladami.

T. S. G.P.H.S.

Wycieczka Koła Krajoznawczego

przy I Gimn. Państw. im. H. Sienkiewicza w Częstochowie w pasmo skał Kroczyckich.

Na dzień 5 czerwca 1930 r. ogłoszona została wycieczka Koła krajoznawczego, więc o godz. 6-ej rano stawiliśmy się na dziedzińcu naszego gimnazjum w liczbie 19 osób. Do skał kroczyckich mieliśmy się udać autobusem.

Cierpliwość nasza wystawiona była na długą, bo aż dwugodzinną, próbę oczekiwania. Niestety nie była to ostatnia niespodzianka, zgotowana nam przez zamówiony wehikuł. O godz. 8-ej ruszyliśmy wreszcie do szosy Olsztyńskiej, opóźniając się znowu znacznie z powodu wymijania oddziałów wojsk maszerujących pod Kucelin na ćwiczenia. Wreszcie wjechaliśmy na szosę olsztyńską i popędziliśmy „pełnym gazem". Na znaną sylwetkę zamku Olsztyńskiego rzuciliśmy tylko okiem, mijając ruiny bez zatrzymania.

Pędziliśmy dalej...

Co chwila odzywały się okrzyki: „Uważaj, patrz, krzyż, kapliczka!", lub: „prędzej, prędzej — rysuj sparagi!"

W Janowie skręcamy na południe, docierając do Jurajskiego jądra t. j. białych skał, sterczących wyniośle między bujną zielenią potężnych drzew. Miejsce to jest cudowną oazą na „bezwodnym bezleśnym krasie". Tutaj właśnie znajdują się liczne i obfite źródła, zasilające czystą i zimną wodą sadzawki, które służą do hodowli pstrągów. Dość znaczną ilością ryb z tego gatunku zarybia się nasze górskie rzeki ku wielkiej radości i zadowoleniu góralskich wyrostków, czatujących na przepływającą górskiemi rzekami zdobycz z kamieniem w ręku. Złoty Potok, dawniej własność Zygmunta Krasińskiego, a dziś Raczyńskich, słynny ze swych malowniczych skał i jaskin, okazał się wielce gościnnym, bo zatrzymał nas w swych lasach przeszło godzinę. O tej, przymusowej zresztą gościnności, przekonać się mogliśmy tylko dzięki zepsuciu się naszego autobusu, którego nawet zbiorowy wysiłek wszystkich członków z miejsca ruszyć nie zdołał. Długie jednak pertraktacje mechaników z motorem natrafiły wreszcie na „czułą strunę" jakiejś śrubki i przemówiły widocznie do jej rozsądku. Z głęboką ulgą usłyszeliśmy warkot maszyny, gotowej do ruszenia w dalszą drogę.

W szybkiem już teraz tempie minęliśmy las i przecinając wzgórza, zjechaliśmy w dół do Żarek.

Stare to miasteczko „przycupnięte" u stóp Jury i wciśnięte w kotlinę, utworzoną przez spływające tu potoki, rozgałęzia się dwoma znakami wzdłuż szos: Janowskiej i Włodowickiej.

Plan zwiedzenia starego kościoła musiał upaść z powodu opóźnienia. Bez zatrzymania skręcamy pod kątem prostym na szosę Włodowicką ku płd.-wsch. i z wysiłkiem „drapiemy" się na naszą białą Jurę. Nielada to była praca dla żelaznego konia przy pokonywaniu 55 m. różnicy wysokości na przestrzeni 3 i pół klm. Nachylenie szosy do poziomu wynosiła aż 1,46 m m. dł. Na szczycie oddychamy z ulgą i zadowoleniem. Zwraca tu naszą uwagę stara, dość duża, napół zniszczona kaplica z kamienia, dawniej podobno zbór arjański. Stwierdzamy, że znajdujemy się 100 m. ponad Jasną Górą (koło 392 m.).

Jedziemy teraz wzdłuż krawędzi Jury, która na przestrzeni 1 i pół klm. odcinka naszej drogi, opada stromem zboczem ku dolinie Warty, otwierając przed naszemi oczyma wspaniały, szeroki widok i daleki, rozległy horyzont.

Rozróżniamy z oddali Myszków, Zawiercie, Blanowice (węgiel brunatny — nasuwa się bezpośrednio). Naraz gwałtownym skrętem na wschód zjeżdżamy w jakąś dolinkę, w której ukazuje się naga ukryta tam wioseczka — Jaworznik. Nosiła ona dawniej niezbyt zaszczytną sławę wsi bandyckiej. Mijamy dom, na który zwraca tajemniczo naszą uwagę jeden z członków, jako na fortecę obleganego przez oddział wojska bandyty

OSTATNI MĘDRZEC ZIEMI

Sonet

...i zorane od trudu myśli krzepkiej, znojnej
czoło niósł prosto w wichru zawieję straszliwą...
...i strzelał z głębi oczu światłością, — Moc żywą
niosąc w dani tej ziemi umarłej, spokojnej...
...i po falach rozbratu, bałwanach niezgody
szła świetlista a skromna pieśń czynu zjednania
...i dawała wszem ludziom tę myśl, co skonania
kontrastem jest do czystej, życiowej urody...
...i gorzało oblicze w ascetycznym blasku
(krwi purpury na twarzy nie było ni śladu)
...i w okolu rozmyślań, jak w błyszczącym kasku
szedł do próżni życiowej — śmierci wodospadu...
...i po jego przebyciu wśród gromowych trzasków
zamilkł świat, jak roślina pod ciosami gradu...

Zygter, G.Z.S.K.

---

jeszcze za czasów rosyjskich. Przypominają się nam opowieści o grasujących dawniej w tych okolicach „bandach“, kryjących się w grotach i pieczarach jurajskich, które od wieków były zawsze bezpiecznem schronieniem człowieka.

Krajobraz zmienia się...

Skręcamy bowiem z szosy Włodowickiej ku Katowicom, zdecydowanie już zapuszczając się w głąb Jury. Za Katowicami szosa tworzy na przestrzeni 5 i pół klm. „prościusieńką“ linję i przebiegając po falistym gruncie czyni zaleka złudzenie fałdami nasuniętej na siebie wstęgi. Dookoła rozciąga się krajobraz typowo wapienny.

Koło Rodlesic kończy się nasza jazda i wysiadamy tu, aby oglądać przepiękne, odsłaniające się jak w doskonałej reżyserji, obrazy. Zapuszczamy się w labirynt skał, rozciągających się po lewej stronie drogi, chcąc zdobywać te zamki, twierdze i baszty, w kształt których układają się wielkie głazy, naśladując je zwodniczo.

Po drodze widać wszędzie zawziętą pracę wszystkich sił przyrody, które usiłują te potężne skały zrównać, zetrzeć, zniszczyć...

Ale nie jest to taka łatwa walka. Woda wgryza się w materjał mniej odporny, zabiera go i rozmywa.

Tymczasem jako rezultat tej pracy niszczącej wyłania się biała, obmyta, lecz twarda, prostopadła ściana skalistego wapienia, drwiąc sobie z jej wysiłków. Woda jednak nie daje za wygraną. Zdradzieckie rozpadliny i przez nią wyżłobione szczeliny odsuwają od macierzystej skały olbrzymie jej odłamy i tu znów wiedzie bój z powalonemi już, lecz jeszcze niezwyciężonemi olbrzymami. Nawet drobne korzonki roślin korzystają z każdej, choćby najmniejszej, szczeliny, w którą się natarczywie wrastają.

Idąc koło tych czterech skupień skalnych, jakie wyróżniliśmy na tym obszarze, zachwycamy się zmieniającemi się co krok krajobrazami.

Przechodzimy przez szeroką dolinę, wypełnioną piaskiem dyluwjalnym, w którym zapadamy się po kostki, później przez las, w cień którego możemy schronić się przed palącemi promieniami słońca, to znów przez wynioślejsze miejsca z roślinnością trawiastą, lub typowo wapienną, jak: różyczka skalna, paprotka i t. p., lub wreszcie wspinamy się na skały o tak przedziwnych kształtach i skupieniach, że nawet mało bujna fantazja, musi znajdywać najróżnorodniejsze porównania. Niektóre skały przypominają nam swoją budową amfiteatr rzymski, nie maczugi olbrzymów, inne znów postacie zwierząt i ludzi, o złud-

nem nieraz podobieństwie. (Naprz. portret Bolesława Prusa).

Co krok nowe dziwy...

Zdumiewa nas ogrom bloków skalnych, czasem o regularnym kształcie wielkiego sześcianu.

Wreszcie w trzeciem skupieniu opłaca się nam trud wspinania w górę cudownym widokiem. Jesteśmy jakgdyby na dziedzińcu zamkowym. Naokoło mury, baszty, w jednem miejscu brama wąska, wysoko wznosząca się nad stromą fosą. Z najwyższego punktu rozciąga się widok niezrównany...

Okoliczne wsie, zamki, jak: Mirów, Bobolice, Ogrodzieniec i Smoleń, miasta i miasteczka: Myszków, Zawiercie, Rokitno, Nieguma, Lelów, Szczekociny, dalej lśniąca kopuła Miechowa, wreszcie hen, w oddali na horyzoncie rysuje się pasmo Łysicy.

Rozległy się okrzyki podziwu i zachwytu, a potem... — studjowanie mapy dla stwierdzenia tych nieprawdopodobnych odległości.

Nic też dziwnego, że niezbyt chętnie, ociągając się, schodziliśmy w dół, żegnając z żalem ten prześliczny zakątek. Skręciliśmy na płn.-zach. w kierunku Zdowa na przełaj przez las i piaski, docierając wreszcie do tej wsi, położonej na dość szerokiej, trochę piaszczystej, lecz w większej części bagnistej dolinie.

Pierwszy postój odbył się przy wielkiem wywierzysku, szeroko wypływającem z pod wymytej skały.

Tym razem ugasiliśmy pragnienie, ale w dalszej drodze czekała nas dość przykra niespodzianka.

Dzień był upalny, więc nie oszczędzaliśmy wody, licząc na źródło, które powinniśmy byli jeszcze napotkać. Tymczasem doszliśmy do „rzeki“, która nią być przestała, gdyż wypływające dawniej zródło gdzieś znikło.

Widać było usiłowania wieśniaków, którzy kopali rów, pogłębiając w ten sposób „rzekę“ i ratując źródło. Niestety bezskutecznie...

Woda wpadła w jakąś szczelinę i zniknęła. Tak więc w niezbyt przyjemny, a nawet dotkliwy sposób zapoznała nas Jura ze swemi „zjawiskami krasowemi“.

Pragnienie dowało się odczuć tem złośliwiej, że już znowu zapuszczaliśmy się w obszar wyższy, skalisty, bezwodny, niezaludniony, ale za to wyzyskany dzięki swojej dzikości i niedostępności w innym celu.

Na jednym z takich niedostępnych cyplów skalnych wzniósł się śmiało ponad okoliczne lasy nieforemny kształtem, przystosowany w budowie do terenu zameczek — Bobolice

W narożniku znajdują się dwie pół okrągłe baszty, a od strony północnej mały, silną niegdyś bramą zamknięty dziedziniec. Droga wiodła od strony południowej, lecz wjazd był od zachodu. Na płd.-wschodzie u stóp zamku dwa olbrzymie głazy, pochylone do siebie, wspólnie się podpierają, tworząc naturalną bramę

Bobolice — to typowe orle gniazdo dla rycerzy-rozbójników. Takim właśnie okazał się Władysław Opolczyk, obdarowany zameczkiem w r. 1370 przez Jagiełłę. Niedługo jednak trwały jego rozboje, zamek zostaje zdobyty w r. 1396 przez wojska królewskie i przyłączony do dóbr koronnych.

W r. 1661 jest już tylko jedną z najpiekniejszych ruin w okolicy.

Ślicznie wygląda ten piękny zabytek od strony zachodniej, gdzie wysoko wyłania się ponad lasem, rosnącym u jego stóp.

* * *

Idziemy teraz do Mirowa na zachód, jednak nie drogą, lecz wzdłuż pasma skalnego, które jakgdyby murem łączy oba zamczyska. (Podobno były one dawniej połączone lochem podziemnym). Wspaniałe echo wyzywa nas na „pojedynek głosowy“, ale odparowywuje zadawane ciosy ośmiokrotnie.

Przebywamy wreszcie niewielką, około dwukilometrową przestrzeń między Bobolicami a Mirowem.

Stajemy u stóp zamku.

Mamy teraz możność porównywania obu zamczysk. Mirów, wzniesiony na wzgórzu o łagodniejszem zboczu jest

ŚNIEG.

Biała cisza ziemią włada,
Na ulicach i na roli,
milcząc, sterując powoli,
śnieg pada.

W tan pomyka potem skocznie,
muska błękit tak figlarnie.
Gdy znużenie go ogarnie,
wnet spocznie.

Pereł miljon nieruchomie
snu zażywa na kominie,
dachach, ziemi i gęstwinie
łakomie.

Tonie wszystko w bezpamięci,
zobojętniał świat głęboko.
Zmilkła biel tak smętnie oko
me nęci.

— — — — — — — — — — — — —

Milknie — milknie i się zmierzcha.
Rzeczywistość smętno - sina
w nic powoli się rozpływa
i pierzcha.

Ręka lekka mię dotyka,
postać jawi mi się biała,
skrzydli myśl, pozbawia ciała
i znika.

Wnet w krainę lecę słońca
lekkociały — uskrzydlony,
hen w dalekie płynę strony
bez końca.

I szybuję — tak powoli.
Jakaś rozkosz serce poi,
coś słodkiego duszę koi,
nie boli.

Rzeczywistość zapewniona!
Doskonały bezmiar ciszy!
Serce tylko szczęściem dyszy!
Nirwana!

— — — — — — — — — — — — —

Naglem zadrżał — jakby we śnie...
Jęknął ptak gdzieś całą siłą!
Duszę moją ugodziło
boleśnie.

I opadły moje skrzydła. —
O, potworo ty niemiła,
czemuś z niebios mię strąciła,
przebrzydła?

Ja myślałem, że są cuda,
że się piekło uspokaja,
cichnie bólów wieczna zgraja:
to złuda!

I. Przysucha G. Ż.

---

większy, ale nie robi już wrażenia takiego niedostępnego „gniazda orlego“, jak Bobolice.

Imponuje nam swą wielkością i powagą. Od strony wschodniej zbudowany w okrąg, a od płn. prosto zbliża się kształtem do nieregularnego trójkąta. Podobnie, jak i Bobolice, Mirów przystosowany jest do terenu. Budowa jego jest staranniejsza.

Mury układane są z głazów większych i regularniejszych, podczas gdy w Bobolicach widzieliśmy, obok wyzyskanych przy budowie wielkich, naturalnych bloków skalnych, drobny, o różnorodnych kształtach materjał skalny.

Historja Mirowa podobna jest do historji Bobolic. Nadany on został również Opolczykowi. Później w 1396 r. odebrano mu go, a w tymże samym roku co i Bobolice t. j. 1661 został tak mocno zniszczony, że nie mógł w swoich murach ugościć Jana Sobieskiego, idącego pod Wiedeń.

Król zmuszony był wydawać szlachcie okolicznej rozkazy z ustawionego obok zburzonego zamku namiotu. Zachowały się jednak do dzisiaj dość wyraźne resztki rzeźb ciosowych przy odrzwiach i ramach okiennych.

Wyszukiwanie ich zajęło nam resztę czasu. Po wykonaniu zdjęć musieliśmy czemprędzej puścić się w dalszą drogę. Po drodze napotkaliśmy jeszcze niedaleko Katowic ciekawą odkrywkę z białym, żółtym i zielonym, drobniutkim piaskiem, ułożonym warstwami.

Dotarliśmy wreszcie w Katowicach do szosy, gdzie czekał już na nas samochód. Wynagradzając nam ranne kaprysy, sprawiał się teraz tak dzielnie, że po 2 i pół godzinach jazdy, urozmaiconej śpiewami, wróciliśmy do Częstochowy.

Wróciliśmy z głębokiem zadowoleniem z przepędzenia miłego „niezmarnowanego“ dnia i z poznania jednego z najpiękniejszych zakątków Jury, jakiem jest niewątpliwie pasmo wzgórz Kroczyckich.

**Koło Krajoznawcze
przy G. H. S.**

Pobudka do trzeźwości.

Wszak dużo się mówi o trzeźwości!...

— — — — — — — — — — — — — — —

Budźcie się bracia, z głuchego uśpienia!
Budźcie się! — woła na was głos sumienia,
Wstańcie z brzydkiego pijaństwa nałogu,
Jak drudzy, czyńcie odrzeczenie Bogu.

Czyż nie słyszycie, jak to ludzi mnóstwo,
Których przez wódkę spotkało ubóstwo.
Wieczny już z trunkiem rozbrat czyni śmiało.
Czyż i wam działać takby nie przystało?

Tylko wy sami macie wiecznie ginąć,
Niechcąc trzeźwości chorągwi rozwinąć?
Tylko wy sami z ostatnich ostatni,
Pójść chcecie z wódką do szatańskiej matni?

O, nie daj Boże! — tego zaślepienia!
Wrzuć w głąb ich serca zgryzotę sumienia,
Dręcz pijanicę krzyżykami w domu,
By się pijaństwa kajali, jak sromu.

Wszak każdy czuje i dobrze poznaje,
Jak mu sumienie, gdy wytrzeźwi, łaje,
Jak go strofuje, chłoszcze, siecze, swędzi,
Zda się, że ducha z ciała mu wypędzi!

Toż, pijanico, nie dość ci przestrogi
Na tylu braciach, — że tracą czas drogi,
Że na pijaństwie rujnują swe zdrowie,
Że dusze gubią... któż wszystko wypowie?

Kiedy pijaństwo jest grzechu macierzą
I wszystkich niecnót: tak między młodzieżą,
Jako i w starych, — jako w płci obojej
Człek tych zdrożności aż się wspomnieć boi.

O, przypatrzno się, jak to pijak w błocie,
By zwierz się tarza, — ku ludzkiej sromocie,
Przypatrz się jak to zatacza w przek nogi
Wśród dnia białego, wśród najgładszej drogi!

Słuchaj, jak pijak językiem bełkoce,
W oczach mu, choć dzień, ćma czarna migoce;
A z ludźmi jakie zatargi zawodzi,
Myśląc, że komu, — on sam sobie szkodzi!

Któż więc wypowie szkaradę pijanych,
Kiedy ich ciało, jako opętanych,
Miota się... z duszą — z rozumem pijaka,
Cóż się nie dzieje, gdy zewnętrzność taka?

Tak mówią: pijak padł... i skonał nagle,
Nie w Bogu, lecz swój żywot skończył w djable,
Boć bez pokuty, świętych Sakramentów,
Dożył haniebnie dni swoich momentów.

Kapłan pijaka ciała nie pogrzebie
A dusza jego czyż zamieszka w niebie?
O! jako żywo! — bo rzekł Paweł święty:
„Pijak do nieba nie będzie przyjęty“.

Czyjeż to nagie i zgłodniałe dziatki?
Czy one w życiu nie zaznały matki?
Czyjaż to żona, chodzi jako mara?
Czy na niej ciąży jaka niebios kara?

Nie, to jest dziatwa „Kostery“ — pijaka!
Dość był zamożny, lecz dziś na żebraka
Zeszedł, bo z krzywdą dzieci, nędznej żony
Cały majątek na trunki stopiony.

Skutki pijaństwa, wszak wszyscy widzicie?
Opojów tych znacie? O, ludzie, zadrżyjcie,
Z pijaństw nałogów co prędzej powstańcie
I strasznej kary Bożej się lękajcie.

Lecz Ty sam, Stwórco! ulecz pijanicę!
Niech miłosierdzia Twego ujrzą lice,
Niech promyk łaski ich umysł oświeci!
Bo i to Twoje, acz zbłąkane dzieci!

Pomogłeś z pijaństw powstać ludziom tylu!
I reszty nie chciej opuszczać na chwilę!
Oni już płaczą i swą hańbę widzą,
A Ciebie, Boże i siebie się wstydzą.

Zbrzydź im skutecznie ten nałóg bydlęcy,
A do pijaństwa nie wrócą już więcej.
Niechaj w trzeźwości resztę życia spędzą,
I nad swą straszną litują się nędzą.

Stąd radość w niebie przed Anioły Twemi,
Stąd Panie, raj się odrodzi na ziemi.
Zwady umilkną... całe nieszczęść morze
Zniknie, przepadnie, daj to, Panie Boże!!!

Tarnowski Jan G. P. T.

NIEBIESKIE ŹRENICE.

Drzwi się otwarły. Do mieszkania małego domku stojącego na jednem z przedmieść Gdyni wszedł Jakób Oszendek. Na widok wchodzącego ojca zerwał się z ławki, stojącej obok okna mały Janek, podbiegł i chwytając ojca za rękę swą dziecinną dłonią, ciągnął do stołu, na którym naszykowany był talerz z gorącą zupą, obok zaś leżał chleb. Twarz rybaka dotąd posępna, o rysach twardych, osmaganych wiatrem morza i ciężką pracą rzeźbionych, rozjaśniła się, oczy błysły dziwnem szczęściem, szczęściem, które przechodziło z tej małej dziecięcej rączki, brwi, zawsze ściągnięte, rozeszły się. — „Niech będzie pochwalony“, rzekł — zdjął czapkę i usiadł przy stole. Stara kobieta, która dotąd patrzyła na scenę wnuczka z synem z prawdziwem szczęściem, ze drżeniem starej ruszy, podała synowi nóż i łyżkę i zpowrotem usiadła przy piecu. Syn jej tymczasem zjadł kolację, zapalił fajkę i począł bawić się z małym Jankiem, który wiosłował małą łódeczką z tektury po dużej misce z wodą, szczebiocąc i krzycząc, że jedzie okrętem. Jakób bawił się z wielką, lecz zarazem dziwnie smętną radościa, (jedyną radością swego życia), lecz po pewnym czasie pod wpływem znużenia po całodziennej pracy, ruchy jego stawały się coraz więcej senne, melancholijne, aż wreszcie ustały, głowa bezwładnie pochyliła się na rękę wspartą o stół. — Zasnął...

WSPOMNIENIA z BALU.

Beztroska wesołość, śmiechy, pół-słówka,
Tęskny głos skrzypiec łka dźwięk tanga śpiewny,
Ściany w rysunkach: palma, jakaś główka
I nastrój rzewny!

Damskie suknie, jak tęczy kolor zwiewny
Barwią salę, w abażurów osłonie
Każdy szczęśliwy, każdy siebie pewny
W tym słodkim tonie!

Każda lampka wesoło jakoś płonie,
Refleksy rzuca na twarze rozśmiane,
Tak szczęśliwe w kotyljona koronie
Głowy stroskane.

Tańczą ze sobą osoby nieznane,
Darząc się wzajemnie wesołym śmiechem,
Wiedzą, że tańce, melodje lubiane
Zostaną echem.

Wszyscy też w tańcu kręcą się z pośpiechem,
Sunąc raz wesoło, to znów powoli,
A wiedząc, że zabawa nie jest grzechem
Tańczą dowoli.

Każdy pragnie zapomnieć co go boli,
Chce choć na chwilę zarzucić dnia troski,
Pragnie choć teraz nie widzieć niedoli,
Chce być beztroski.

„Ewu" G. Z. S. K.

Od głównego mola widać wolno oddalający się okręt, na nim ruch panuje duży; widać powiewające chusteczki, uśmiechnięte uśmiechem tęsknoty twarze, widać jeszcze wyraźnie wszystko, widać uwijających się marynarzy, beztrosko biegających po pokładzie, po drabinach, w górę... wszędzie; a wśród nich widzi stary Jakób Janka, widzi swego syna, jest porucznikiem, widzi, choć już daleko.... jak jego niebieskie źrenice patrzą na niego, patrzą na ląd gdzie stoi, na niebo, na morze, w dal... gdzieś... i znów na niego. Patrzą... Widzi niebieskie oczy... duże... patrzą jakoś nieswojo z jakimś bezdennym smutkiem, z miłością, z heroizmem, widzi.. już nic nie widzi, ni ludzi, ni marynarzy, — nic... Słyszy. Morze śpiewa... Nagle z nicości wyłania się okręt, duży, wielki, szary... Dym czarny wali się z kominów, przewala gęstą masą, aż wreszcie unosi się, zlewa się z tłem nieba — ginie. Widać to wszystko lecz jakoś daleko, niewyraźnie. Widać przez mgłę niebieskich źrenic, które świecą swym blaskiem z oddali, z nad morza.

Jakób przesuwa ręką po czole, po głowie. Czuje, zmarszczki na swem czole. Jest stary, siwy, sam. Czuje, że ostatni raz już żegna syna i gorycz zalewa mu duszę. Chciałby być młodym, rzucić się wpław i dognać niebieskie źrenice. Chciałby, — nie może.

Nagle wszystko znika. Pustka... Nicość... i znów widzi syna coraz bliżej, bliżej; widzi dokładniej. Wreszcie rzuca się w morze. Płynie... Morze szumi... Okręt niedaleko, aż wreszcie dopływa, jest już na okręcie, już... i radość rozsadza jego duszę, lecz o Boże! zapóźno...

Janek leży na pokładzie martwy, — nie, jeszcze żyje, otwiera oczy... patrzy... nie może poznać, wreszcie poznaje i głosem słabym, lecz silnym zarazem, smutnym a przepojonym wielką radością ducha mówi: „Ojcze drogi! Kolebka i grób ojców moich mnie woła, bym szedł do nich, woła mnie morze, wołają fale, wołają poto, bym śmiercią swą, swem ciałem z polskiej zrodzonem ziemi zaślubił ją z polskiem morzem, z jego głębią. I idę bo kocham te fale, bo były mi w dzieciństwie mego sieroctwa rękami matki, której nie znałem, były kołysanką, pieśnią, radością mego życia, koiły to, co dały życiowe bóle i cierpienia, hartowały mię, gdy kazały ze sobą się borykać, walczyć do utraty sił, a potem dawały zwycięstwa, potem znów mi śpiewały... i dlatego też ginę szczęśliwy, szczęśliwy że mię obejmą te fale, że ciało me pieścić, kołysać, będą stale..., — tu urwał, pobladł. Morze śpiewało mu hymn śmierci. Zamknął oczy. Ojciec tak samo blady, też nieruchomy stoi, patrzy... nie wie co się dzieje... jakiś bezład, cisza... Janek otwiera oczy... błyszczą... wargi rozchylają się... — „żegnaj ojcze! żegnajcie bracia!"" — ucichł, cisza... nawet piersi oddechem nie zadrżą, zda się że i morze zamarło w uroczystej ciszy śmierci. Jakób patrzy. Widzi przed sobą syna sztywniejącego w objęciach śmierci, widzi jak jego dłonie bledną, wie, że stygną, lecz nie rozpacza, nie rzuca się w cierpieniach, nie rwie włosów, nie, on tego nie czyni, on składa z dumą syna w ofierze morzu, on z dumą patrzy na bohaterską śmierć syna, patrzy na zamykające się lekko, powoli, lecz nieubłaganie, powieki, które już przykryć mają na wieki niebieskie źrenice. Oczy syna bledną, mętnieją, lecz nie traca swego koloru, nie zmniejszają się, nie, stają się coraz większe. Jakób patrzy... Rosną... lecz oddalają się... już głowy nie widać, tylko niebieskie źrenice, już nie widzi munduru, oczy go zalewają... nie widzi nikogo.. oczy... duże... wielkie... niebieskie... już okręt tonie w głębi tych oczu, już go nie widzi Jakób stary. Ogromne... potężne,, błękitne oczy... tylko oczy i morze. I morze pochłania te oczy, a oczy pochłaniają morze. Mgła... pustka... przepaść bezdenna... szumi.. dzwoni... to cisza dzwoni... wicher... świst... nic...

— — — — — — — — — — — — — — —

Sen prysnął.

Jakób obudził się. W mieszkaniu było ciemno i słychać było tylko dziecięcy oddech śpiącego Janka i matki. Nabił sobie więc fajkę tytoniem, wstał i wyszedł z mieszkania, by odpędzić od siebie wrażenie dziwnego snu. Noc była piękna. W dali widać było drgające w blasku księżyca srebrne fale morza, na prawo zaś błyszczały małe punkciki portowych latarń, zlewających się z blaskiem drżących gwiazd, które poprzykle-

jały się do ciemnofioletowej głębi niebios. Morze cicho lecz groźnie zarazem z oddali szumiało, niosąc spokojny i twardy sen tym, którzy go kochali. Jakób wsłuchał się w ten potężny szum, wpatrzył się... wzrok jego pobiegł w dal... myślał,,, nie, nic nie myślał. On tylko słuchał, patrzył. I wsłuchał się, wpatrzył całem ciałem, całą duszą, całem swem jestestwem, każdą kroplą krwi płynącej w jego ciele, każdem drgnieniem mięśni, — wszystkiem. Był duszą tego morza, (a morze było jego duszą), był atomem tej potęgi, był dzieckiem morza. Słuchał.... Głębie śpiewały cudną pieśń miłości, pieśń potęgi, siły, grozy, pieśń wieczności; morze składało przysięgę Bogu na wierność ziemi, lecz by ta ziemia te fale kochała, by ci synowie kochali to morze, by byli jedną duszą.

Morze błagało... — groziło... zaklinało na siłę swych głębi.

Słyszał to Jakób, czuł, rozumiał i drżał dreszczem szczęścia. Kochał...

L. Błaszczyk Rrzem.-Przem.

KĄCIK NAJMŁODSZYCH.

PO CO SIĘ SMUCIĆ.

Poco się smucić?
Poco ubolewać?
Czy nie lepiej nucić,
Lub piosenkę śpiewać;
Czy nie lepiej na łące,
Zrywać kwiatki pachnące,
Albo siedzieć nad rzeką,
I rybki łapać wędką.

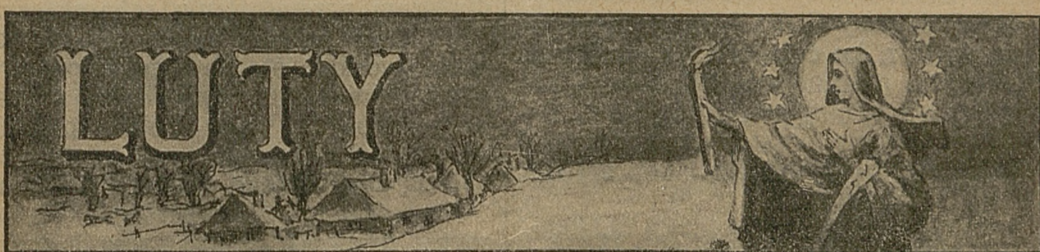
DO SZKOŁY.

Budzi mnie zrana,
Głos wesoły:
„Marysieńko, czas do szkoły",
Więc się zrywam wnet z posłania.
Łóżko ściele moja niania.
Dzionek jest dosyć wesoły,
A ja dążę wraz do szkoły.
Po drodze spotykam przyjaciółki,
Co również idą do tej samej szkółki!

DLA OJCZYZNY.

Dla Ojczyzny,
Są te blizny...
Dla Ojczyzny są te rany...
Dla Ojczyzny mej kochanej.
Dla Ojczyzny trudy, znoje,
Dla Ojczyzny pot na czole,
Dla Ojczyzny rolnik orze,
Na tym czarnym swym ugorze.
Dla Ojczyzny lud się bije.
A Ojczyzna niech nam żyje!

Irena Przysuskierówna,
ucz. kl. I. G.P.J.S.



WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

— Od Redakcji.

Numer następny 6 (szósty) ukaże się 25 marca. Ze względu na jubileuszowy charakter tego numeru, a w związku z tem zwiększenia pracy przygotowawczej, prosimy o nadsyłanie prac do tego numeru najpóźniej do dnia 12 marca.

Niniejszem podajemy do wiadomości zainteresowanych, iż z niewszystkich nadesłanych rysunków i karykatur mogliśmy skorzystać i umieścić, ponieważ stały nasz współpracownik — rytownik kol. Fr. Bellon wskutek skaleczenia ręki, nie mógł pracy dokończyć.

— Sprostowanie.

W numerze 4 (31) b. r. wiersz p. t. „Zimą" mylnie został podpisany inicjałami H. S., zamiast H. J., co niniejszem prostujemy.

— Koncert I-go Gimn.

Dorocznym zwyczajem orkiestra I-go Gimn. urządza 14 marca b. r. koncert orkiestry symfonicznej we własnej sali szkolnej. Dochód przeznaczony jest na cele Samopomocy. Szlachetny cel, jak również doborowa orkiestra pod batutą p. prof. E. Mąkoszy, powinna zgromadzić młodzież i rodziców.

— Koncert Samopom. II Gimn.

Dnia 28 marca odbędzie się koncert orkiestry symfonicznej II-go Gimn., oraz zaproszonych solistów. Na zakończenie zostanie odegrana jedno-aktowa komedja. Urządzeniem koncertu zajmuje się Samopomoc oraz Patronat klasy siódmej, reprezentowany przez p. W. Miłkowskiego.

Program koncertu jest bardzo bogaty. Należy się więc spodziewać powodzenia tembardziej, że orkiestra II gimn. ma ustaloną opinję i cieszy się uznaniem wśród młodzieży i miejscowego społeczeństwa. Szczegóły w afiszach.

— Akademja ku czci św. Kazimierza.

Sodalicja przy G. P. T. urządza w dn. 8 marca b. r. ku czci św. Kazimierza, królewicza, patrona sodalicyjnego Akademję, na program której złożą się: referat, deklamacje, występy znanych szerokiemu ogółowi solistów i koncert orkiestry symfonicznej.

Sodalicja spodziewa się, że Akademja, której program bardzo pieczołowicie i starannie zostaje przygotowany, spotka się z poparciem tak młodzieży, jako też i miejscowego, starszego społeczeństwa. Czysty dochód z powyższej imprezy zostaje przeznaczony na kupno sztandaru.

Akademja odbędzie się w sali Straży Ogniowej o godz. 6 min. 30 wieczorem.

— Z Samopomocy przy G. P. H. S.

W dniu 15 b. m. odbyło się zebranie Samopomocy tegoż gimn. na którym R. P. K. wybrała nowy Zarząd: kol. Jan Płazak — prezes, (poraz trzeci), kol. Jan Hłasko — vice-prezes, kol. Dobrucki Waldemar — skarbnik, kol. Pilniak — sekretarz.

— Pamięci R. Traugutta.

Dnia 28 stycznia Gimn. Państw. R. Traugutta uroczyście obchodziło rocznicę powstania styczniowego, którego najwybitniejszą postacią i ostatnim dyktatorem był R. Traugutt, patron szkoły.

Referat na temat: „Traugutt — jako przedstawiciel swego pokolenia" wygłosił kol. St. Kwietniak. Referat został zobrazowany deklamacją odpowiedniego utworu Kornela Ujejskiego p. t. „Pamięci Traugutta", wygołszoną przez kol. Strzeleckiego. Następnie kol. Płomiński Tadeusz, znany i ceniony przez ogół młodzieży skrzypek - solista, wykonał na skrzypcach szereg pieśni powstańczych. Wreszcie zebrana młodzież chórem odśpiewała piosenkę powstańców z 63 r. i „Rotę" M. Konopnickiej.

— Powstanie Styczniowe w Gimn. Z. S. K.

Dnia 22 stycznia w pięknie przybranej sali, odbyła się uroczystość, poświęcona pamięci ostatnich powstańców. Na wstępie p. prof. dr. B. Żelazowska w dłuższem przemówieniu scharakteryzowała czas przedpowstaniowy, podkreślając moralną stronę tego czynu orężnego. Powstanie wybuchnąć musiało, by niedopuścić, aby Polska popełniła dobrowolnie samobójstwo, wpadając w objęcia zachłannego molocha caryzmu...

Następnie kol. Skrzypczak J. — przedstawił organizację powstania i omówił rolę Traugutta, a kol. B. Steckiewicz kl. II wyrecytował pięknie: „W Warszawie" M. Konopnickiej. Kol. Ciurzyński wypowiedział z uczuciem: „Brankę" — Konopnickiej, a kol. Żaba pięknie oddeklamował nastrojowy wiersz Or-Ota: „List z Sybiru".

W międzyczasie — coraz lepiej rozwijająca się — orkiestra smyczkowa wykonała Ouwerturę „Mignonette", marsz „Drauflos" i walc „Rusałki".

(Z—Z).

— Choinka w Gimn. Z. S. K.

Dnia 25 stycznia staraniem Samopomocy urządzono dla młodych klas (do III. włącznie) doroczną choinkę. Uroczystość tę zaszczycili swą obecnością pp. profesorowie in corpore na czele z p. dyr. dr. W. Jasiewiczem, oraz grono Rodziców.

Przy wesołych śpiewach, zabawie i tańcach, szybko przeminęły godziny. Orkiestra gimnazjalna walnie się spisała — dając (co należy podkreślić) prawie same narodowe, swojskie „kawałki". Szły więc krakowiaki, polki, obertasy i t. d. — a młódź i starsi ochoczo pląsali.

Nadto (prócz gratisowego podwieczorku) odbarzono każdego uczestnika zabawy prawie kilową torbą smakołyków i bakalij, by rychło nie zapomniał tej tak miło spędzonej chwili. **(Z—Z).**

— Z wieczorku w G. P. J. S.

W dniu 28 stycznia, w salach Państw. Gimn. J. Słowackiego, odbył się wspaniały wieczorek taneczny, urządzony staraniem Uczenic klasy siódmej, przy poparciu finansowem Kom. Rodzicielskiego, na który zostali zaproszeni koledzy klas siódmych G. P. T. i G. P. H. S.

Obowiązki gospodyń pełniły: kol. Joasia Miłkowska, Krysia Zawadzka, Renia Dobiecka, Jasia Czarnkówna, Irena Borkowską, Ola Pieracka. Wieczorek rozpoczął się o godz. 5-ej. Wśród miłej atmosfery, jaką zdołały wywołać urocze Gospodynie, zapomniała młodzież o swych codziennych troskach, przytupując w takt skocznego oberka, pięknego mazura, rozpływając się po sali posuwistem tangiem, wijąc się jak wstęga uroczym walcem lub zamieniała się w gromadę lalek poruszanych mechanizmem, przy dźwiękach schimi. Domyślne Gospodynie wiedziały jednak, że „nie samym tylko tańcem człowiek żyje" i polonezem poprowadziły dziarską młodzież (płci obojga) do suto i z premedytacją zastawionego bufetu. Tu, jak i poprzednio na sali balowej, młodzież dzielnie popisywała się zdrowym i tęgim apetytem w czem sekundowali jej specjalnie ad hoc zaproszeni Gospodarze honorowi. Posileni na ciele i wzmocnieni na duchu tanecznicy, dalej kontynuowali na chwilę przerwane tańce. (Półoficjalnie dowiedzieliśmy się, że niektórzy mieli naprawdę dobre apetyty). Wszystko jednak ma swój finał, a więc i nasz niezapomniany i nieodżałowany wieczorek musiał się skończyć.

Grupkami lub rodzinami opuszczano gościnne Domostwo z piosenką na ustach, która długo jeszcze budziła echo w układającem się do snu mieście. Wdzięczna młodzież chociaż tą drogą pragnie za naszem pośrednictwem podziękować miłym Gosposiom, za humor, Dyrekcji, za salę, Komitetowi, za bufet.

— Z wieczorku w G. P. H. S.

Staraniem klas siódmych G. P. H. S. odbył się w dniu 14 lutego wieczorek taneczny w sali I-go Gimn., na który zaproszono klasy siódme G. P. J. S., N. i P., G. P. T.

Młodzież wykorzystawała ostatnie drgnienia karnawału, bawiąc się ochoczo do godz. 23. Podczas wieczorku panował miły nastrój i przy dźwiękach „naszej" orkiestry, raźno pląsała rozbawiona młódź. Walc, oberek, tango, schimi, oto tańce, które tego wieczoru dawały tancerzom pole do popisu.

Należy nadmienić o gustownej dekoracji sali, o tanim bufecie, który tym razem był o wiele przystępniejszym, aniżeli w razach ubiegłych.

— Wieczorek w Szkole Rzem.-Przem.

W dniu 7 stycznia (w sobotę) został urządzony przez Szkołę Rzem.-Przem. doroczny wieczorek taneczny.

Wieczorek odbył się we własnych salach szkolnych, odpowiednio udekorowanych. Do tańców przygrywała doborowa, pierwszorzędna orkiestra, na miejscu znajdował się bufet, w którym „prezydowały" koleżanki z Państw. Szk. Zaw. Żeńskiej.

Na salach, (tak jak i w życiu) dawała się odczuwać nieznaczna przewaga płci nadobnej. W Polsce na 100 mężczyzn przypada 110 kobiet, na wieczorku nie mieliśmy możności przeprowadzić dokładniejszych badań statystycznych.

Tańczono, oprócz modnego tanga i fox-trota ,wszystkie dawne, polskie tańce: walczyka, mazura, oberka i polkę.

Kwak.

— **Wieczorek w Szkole Handlowej.** W dniu 7 lutego równiei Szkoła Handlowa urządziła doroczny, tradycyjny wieczorek taneczny. Gdybyśmy chcieli stylem telegraficznym opisać ów wieczorek, to jego przebieg zawarlibyśmy w następujących zdaniach.

Wyśmienita orkiestra. Obfity i smaczny bufet. Duża, udekorowana sala. Podłoga sama zapraszająca do tańca. Dużo ładnych i dobrze tańczących (a to grunt) uczenic, i clou wieczorku — trzy cyganki. Na zaproszeniach wydrukowono wprawdzie, że będą „tańce cygańskie", ale na nieszczęście, na wieczorku brakowało cyganów, a nikt z przybyłych nie chciał otrzymać tego miana, przeto musieliśmy się zadowolić tańcami mieszanemi, t. j. napoły — cygańskiemi. Mimo tego jednak nastrój na sali możnaby wyrazić jednem słowem: szampański. **Kwak.**

CZŁOWIEK z KOTNĄ MUCHĄ.



Jeżeli ujrzycie kiedykolwiek, Czytelnicy, a przedewszystkiem Wy, Czytelniczki zbliżającą się ku wam na palcach i dwukrotnie porozumiewawczo chrząkającą osobę, to wiedzcie, że jest to chluba i ozdoba Gimnazjum Traugutta, i że ja sam jestem niezwykle szczęśliwy z tego, że losy pozwoliły mi chodzić „do budy" z nim razem. Jest to człowiek wielki nie ciałem, którego wysokość wynosi 1,70 cm. (z kaloszami) ale duchem i... apetytem, słowem, jest to pan Edward.

Pozwólcie mi, przynajmniej w słowach paru, zcharakteryzować go wewnętrznie i zewnętrznie i ujawnić jego wielkie, rzadko spotykane i niepoślednie zalety.

Ludzie są podli, i tej podłości przypisać trzeba miano naszego bohatera „donicą" zwanego, jeżeli jednak mamy szukać na jego określenie wyrazu botanicznego, to jedyną nazwą, odpowiadającą mu będzie kwiat. Kwiatem jest pan Edward tak z powodu „piękności" i „kolorków", jako też z powodu „pachnieć", naturalnie, wodą kolońską.

Specjalnie odznacza się nasz bohater zaletami kwiatka (i to nie byle jakiego) na wieczorku, gdy, spacerując poważnie „pod sztywniakiem, pod muchą kotną, pod białemi (sić!) rękawiczkami i pod lakierami", a raczej w tych wszystkich akcesorjach piękności męskiej, z godnością i łaskawości a odbiera wiernopoddańcze ukłony i spłonione spojrzenia pensjonarek. Przytem stale się uśmiecha. Uśmiech jest tak nieodstępny jego

twarzy, jak kalosze i alpagówka jego ciału. Pod tym względem bardzo się różni od naszej dzisiejszej, zbyt poważnej młodzi, która zaledwie czasami i chwilami półgębkiem się uśmiechnie, jakoby bojąc się ukazać największą ozdobę twarzy — zęby.

Zęby nietylko są ozdobą twarzy, są one także w dzisiejszych zmaterjalizowanych czasach, najważniejszym instrumentem, jakim nasza droga mamusia — natura, obdarzyła ludzkość. A że umiemy używać tego instrumentu niezgorzej od pra-pra-przodków naszych, niech świadczą puste tace, podstawki i półmiski, noszące na sobie ślady lukru i okruchy pączków i kanapek, stos cynfolji i papierków podartych i pomiętych, z napisami wartości ogólno ludzkiej, jak: Anglas, Milka, Welma, Bitra, ojczystemi, jak: Plutos, Wedel, Hanka i lokalnemi, częstochowskiemi: Weber, Dębski i t. p., pozostające w bufecie po każdym wieczorku.

Okres ich jednak odszedł na rok cały, wróćmy więc do pana Edwarda. Co do jego zębów, to trzeba stwierdzić, że swoje podwójne zadanie spełniają należycie, z pewnym nawet zapałem, tak w ukazywaniu się na świat Boży, jako też w przyczynianiu się do stwarzania rynków zbytu dla produktów kulinarnych.

A teraz może zamienimy przysłowie, a raczej powiedzenie „Co w sercu, to i na ustach" na podobne co do treści: „Jakie serce, takie usta". Przypatrzmy się koledze Edwardowi. Z jego powierzchowności zewnętrznej, na podstawie wyżej przytoczonego powiedzenia, możemy wnioskować, że kolega ten ma duże, powiedzmy bardzo duże serce, a przytem, że to serce jest „otwarte". Czyż to jednak jest wadą, albo czyż może sprawiać komukolwiek przykrość? Raczej jest to zdarzenie pomyślne dla naszych nadobnych koleżanek. Wiedzcie bowiem, koledzy, że serce to w całej swej wielkości utonęło w jednej Żeńskiej szkole, niedaleko na południe odbiegając od swego właściciela i dobrze mu tam jest, jak u Pana Boga za piecem (locum nadzwyczaj wygodne szczególnie podczas zimy, kiedy kryzys gospodarczy i finansowy nie pozwala na czynienie większych zapasów węgla). Niektórzy twierdzą, że kolega Edzio łysieje, jest to jednak najnikczemniejszy fałsz niskich, przyziemnych wrogów Wielkiego Podbijacza Serc. Jakich, (serc, nie wrogów) to wiadomo.

Na zakończenie dodam, że Edzio pochodzi z Podwala i że płynie w nim gorąca krew Rakowiaka, i że jest on naczelnikiem sił zbrojnych, wodzem naszym, jest — hufcowym.

Jeżeli jeszcze teraz nie wiecie, co za osobę miałem na myśli przez cały czas pisania mojej ględy (w tej chwili zecer popełnił omyłkę, gdyż miało być klechdy), to możecie z zupełnym spokojem już teraz odłożyć pismo, spojrzawszy po raz ostatni na podobiznę naszego kochanego wodza i nie czytać końca ,który i tak już następuje.

Mam pewność, że bohater tego utworu, mającego pretensję do miana feljetonu, nie oceni usługi, jaką Mu oddałem, pokazując światu (świat w tym wypadku winien być rodzaju żeńskiego) jego zalety i jego niecodzienność. Czuję, że jutro, lub pojutrze „wylecę" z hufca, wykreślony władczą ręką pana hufcowego, człowieka o wesołej duszy i zabójczym uśmiechu. Zaklinam go na prochy alpagówki, lakierków, „muchy" które zapewne przeznaczył, z powodu Postu Wielkiego, molom na pożarcie, aby mi nie wybijał zębów, które nawet w Wielkim Poście na coś się przydadzą. (Operacja taka przydałaby się raczej molom, tnącym „muchę kotną" niż mnie).

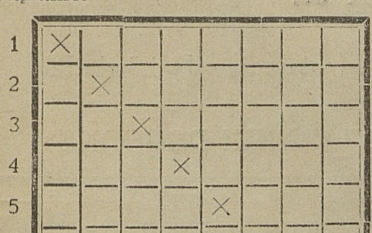
Niemniej spodziewam się, że płeć piękna, dla której głównie skreśliłem te słowa, oceni moje poświęcenie i zasłoni mnie przed panem Edziem uśmiechami, skierowanemi ku niemu, (daję słowo, że jest na nie nadzwyczaj „łasy"), żywiąc tę niepłonną nadzieję, kreślę się z należytą wdzięcznością dla łaskawych czytelniczek, mniej, być może, łaskawych czytelników i zupełnie napewno niełaskawego Pana Edwarda.

Fizol.

DZIAŁ ROZRYWKOWY.

Ułożył: „Charry" G. P. T.

Litery idące wzdłuż krzyżyków dadzą aktualne rozwiązanie.



Znaczenie wyrazów poziomych: 1) Syn i następca króla Cyrusa, 2) Bohater polski, który się wsławił w obronie Pragi, 3) Składowa część kodeksu, 4) Człowiek lubiący się procesować, 5) Kwiat, 6) Dziki lud, mieszkający na północno wschodnich granicach Iranu, 7) Imię męskie, 8) Sławny zamek położony w Rzymie.

SZARADA SYLABOWA.

Ułożył: W. D. (G.P.T.)

Z podanych sylab ułożyć 9 wyrazów tak, aby początkowe i końcowe litery czytane w kierunku pionowym dały imię i nazwisko kompozytora polskiego.

Sylaby: Zli — on — lo — tyk — ła — us — a — ki — so — jum — wa — ro — na — kra — on — po — lar — ta — sa — ter — kre — tes — ko — na — kte — tes — zarz.

Znaczenie wyrazów: 1) Żołd, pensja, 2) Karty do wróżenia (hebr.), 3) Myśliwy Grecki, 4) Miasto w Azji Mniejszej, 5) Wychodźcy serbscy XVII w. (wspak), 6) Mówca grecki, 7) Pokryty

ranami, 8) Wiersz żartobliwy, 9) Wodna gra sportowa.

Rozwiązań z poprzedniego numeru nadesłano ogółem 22. Trafnych 13. Nagrody drogą losowania otrzymali: I kolega B. „Ruch“ G. P. T., II kol. „Myśl“ N. i K., III kol. Nur. W. Rz. - Prz., IV kolega „Kwak“.

CO CZYTAĆ?

TEMATY MATURALNE w szkołach średnich zebrane przez Stowarzyszenie Dyrektorów szkół średnich państwowych ze wszystkich przedmiotów. Tom IV za r. 1930. Str. 88 (13½×24), r. 1931. Cena w brosz. Zł. 4:50.

Książka zawiera tematy maturalne w zakresie wszystkich przedmiotów, ułożone według kuratorjów. Zbiór ten służyć ma nauczycielstwu jako materjał orientacyjny w zakresie poziomu i charakteru piśmiennych egzaminów dojrzałości w polskich szkołach średnich; uczniom zaś — jako niezmiernie pożyteczna, a nawet prawie niezbędną pomoc podczas przygotowywania się do egzaminów maturalnych.

Odbiorcy: Nauczyciele klas wyższych szkół średnich, uczniowie 7 i 8 klasy.

Galopin A. — ŁODZIĄ PODWODNĄ NAOKOŁO ŚWIATA. Powieść zeszytowa wychodząca w Tygodniku Przygód i Powieści od 1-go stycznia do końca roku 1931. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. 1929. Za całość, 52 zeszyty zł. 11. —; półrocznie, 26 zeszytów zł. 6.—, kwartalnie, 13 zeszytów zł. 3.25; zeszyt pojedyńczy 30 gr.

W trzecim roku swego istnienia „Tygodnik Przygód i Powieści“ powrócił do powieści podróżniczej, której treścią jest emocjonujący wyścig dwóch łodzi podwodnych naokoło świata. Wobec dużej poczytności tego wydawnictwa redakcja, mimo bardzo niskiej ceny Tygodnika, daje swym czytelnikom dodatek, drukowany na okładce. Od piątego numeru stanowią go ciekawe opowiadania z życia ludów egzotycznych p. t. „Młodzież w pięciu częściach świata“.

„Tygodnik Przygód i Powieści“ szybko zyskał słuszne powodzenie. Powieści w nim drukowane porwały czytelników zajmującą, a nawet porywającą treścią. Podobnie zapowiada się i rok obecny. Arnold Galouin, znany autor powieści awanturniczych, umie przemawiać do młodych czytelników doborem tematów, ciekawem ujęciem i intrygą oraz przeprowadzeniem akcji, czego najlepszym dowodem jest powodzenie pierwszej jego powieści p. t. „Zuchwały lot“, która w Tygodniku zyskała wielką ilość prenumeratorów, a w wydaniu książkowem jest już na wyczerpaniu.

Głównym bohaterem „Łodzi Podwodnej“ jest Milo, chłopiec dzielny, energiczny i pełen inicjatywy, mimo młodego wieku, okazuje się doskonałym marynarzem, a swych starszych przyjaciół nieraz ratuje od ciężkich powikłań i niebezpieczeństw.

Kurator: **Dr. H. Płodowska.** Redaktor odp. **Al. Wiklik.**

Korespondencje i prace nadsyłać na ręce red. **Al. Wiklika,** GPT. Kościuszki 19a

Druk. F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie